

PRZEGLĄD PRUSZKOWSKI

Wydawnictwo Pruszkowskiego
Towarzystwa Kulturalno-Naukowego
nr 2/2014

**Copyright © by Pruszkowskie Towarzystwo
Kulturalno-Naukowe, 2014**

Grafika: *Jerzy Blancard*

Redaktor: *Irena Horban*

Zespół redakcyjny: *Hanna Horban, Grzegorz Zegadło*

Skład i łamanie: *Beata Włodarczyk*

Organizacja produkcji: *Rachocki i s-ka*

Wydawca: Pruszkowskie Towarzystwo Kulturalno-Naukowe
ul. Miry Zimińskiej-Sygietyńskiej 5
05-800 Pruszków
tel. 22 759 94 64
e-mail: eireneszym@gmail.com

Książnica Pruszkowska
im. H. Sienkiewicza
ul. Kraszewskiego 13
05-800 Pruszków
tel. 22 758 86 09
tel./fax 22 730 10 80
e-mail: ksiaznica_pruszkowska@biblioteka.pruszkow.pl

Spis treści

Ksiądz Marian Mikołajczak	
Ostatnie wydarzenia w naszej parafii	5
Irena Szymańska Horban	
Polskie obyczaje na Boże Narodzenie	9
Irena Szymańska Horban	
PTK-N	13
Wojciech Szaraniec	
Całun Turyński w świetle badań naukowych	15
Marian Marek Drozdowski	
Specyfika Powstania Warszawskiego na tle europejskich powstań	46
Mirosław Wawrzyński	
Exodus warszawiaków	56
Adam St. Trąbiński	
Andrzej „Piórko” Brzeski	68
Bożena Kępkowska	
Jan Dionizy Piotrowski	74
Grzegorz Witkowski	
Żbików 1914	79
Piotr Dymecki	
Widowisko	81
Jerzy Ryx	
A było tak... ..	83
Grzegorz Zegadło	
Działalność Książnicy Pruszkowskiej	88

POŻEGNANIA

Paulina Kaleta

Spółecznik, zakochany w swym mieście Jerzy Kaleta 95

Jacek Przygodzki

Odeszła Anna Pawełczyńska 98

LIRYKA, LIRYKA, TKLIWA DYNAMIKA

Stanisława Ossowska

Boże Narodzenie 99

Cud narodzin 100

Refleksje na Boże Narodzenie 101

ks. Roman Indrzejczyk

Świąteczne marzenia 102

Adam Mickiewicz

Nowy Rok 103

OSTATNIE WYDARZENIA W NASZEJ PARAFII

Nawiedzenie Matki Bożej w ikonie Jasnogórskiej

Miało ono miejsce 25 i 26 czerwca 2014 r. Poprzednio mogliśmy gościć ten sam obraz w 1983 r. Podobnie jak wtedy, tak i teraz wierni licznie zgromadzili się w świątyni, by podziękować ukochanej Matce za jej macierzyńską opiekę.

Może ktoś zapytać czy taka forma pobożności jest najlepsza na dzisiejsze czasy? Okazuje się, że bardzo potrzebna. Dopóki człowiek patrzy na obraz Pana Jezusa, Matki Najświętszej i świętych w sposób ewangeliczny, nie ubóstwia obrazu, nie traktuje go jako talizmanu, ale traktuje go jako budzenie wiary, by dostroić się na odbiór Bożych fal łaski, to taka religijność nie jest magiczna lecz radosna, piękna i bardzo potrzebna w dzisiejszych czasach.

Kardynał Stefan Wyszyński 6 sierpnia 1958 r. tak mówił o przyjmowaniu Obrazu Matki Bożej w parafiach:

Z początku sami byliśmy pełni lęku, czy Nawiedzenie głęboko zapadnie w duszę, czy zrodzi łaski nadprzyrodzone? Ale z postawy duchowieństwa... i całego społeczeństwa zrozumieliśmy od razu, że działają tu jakieś szczególne łaski Boże. Ileż to razy księża dziękani wyznawali otwarcie: „Nigdy nie przypuszczaliśmy, że Nawiedzenie wywoła tak ogromne poruszenie, tak pogłębi ducha wiary i modlitwy”. Możemy powiedzieć tak, jak mówiła Elżbieta w dniu nawiedzenia Maryi w Ain Karin: >>[...] skoro zabrzmiał głos pozdrowienia twego w uszach moich, poruszyło się z radością dzieciątko w łonie moim.>> (Łk. 1,44). Ile łask spłynęło do serc ludu! Ile było wspaniałych nawróceń [ludzi] tkniętych miłością, ile powrotów

z dalekiej wędrówki po bezdrożach, poza łaską uświęcającą, po wielu latach! Ilu ludzi pojednało się z Bogiem i przystąpiło do sakramentów świętych!”

Parafia ma szczęście, ponieważ posiadamy kopię Obrazu Matki Bożej, która została namalowana przez prof. Leonarda Torwida. Ten sam autor namalował Obraz Nawiedzenia, który pielgrzymuje po wszystkich parafiach w Polsce. Stefan Kardynał Wyszyński poświęcił nasz Obraz na Jasnej Górze 26 sierpnia 1965 r. w ramach obchodów przygotowań do obchodów Tysiąclecia Chrztu Polski.

Stąd jeszcze bardziej odczuwamy, chociaż musieliśmy oddać Obraz Matki Bożej następnej parafii, że Maryja pozostaje z nami i możemy dalej czuwać przy naszej Matce i Królowej.

Jeszcze raz dziękuję wszystkim, którzy tak pięknie czuwali przy Matce Bożej i w dzień i w nocy.

Wizytacja kanoniczna parafii św. Kazimierza

Do naszej parafii przybył bp Józef Górzyński, sufragan Warszawski na dwudniową wizytację (28 i 29 września 2014 r.).

Zgodnie z prawem kanonicznym Biskup diecezjalny ma obowiązek wizytacji parafii w jej duszpasterskiej i administracyjnej działalności raz na 5 lat.

Proboszcz parafii przekazuje sprawozdanie z 5-letniej działalności. Swoje sprawozdania przygotowują również zespoły posługujące w parafii.

W niedzielę uczestniczył we wszystkich Mszach św. i przysłuchiwał się kazaniom, które głosili miejscowi księża, bo to również stanowi punkt jego wizytacji.

Spotkał się z Radą Duszpasterską i Ekonomiczną i wysłuchał opinii o parafii i proboszczu przekazaną przez każdego uczestnika Rady. Wieczorem udzielił Sakramentu Bierzmowania i spotkał się także z kapłanami z dekanatu pruszkowskiego.

Drugiego dnia odwiedził Gimnazjum Nr 3 im. Jana Pawła II a następnie zgromadzenia zakonne mające domy zakonne w na-

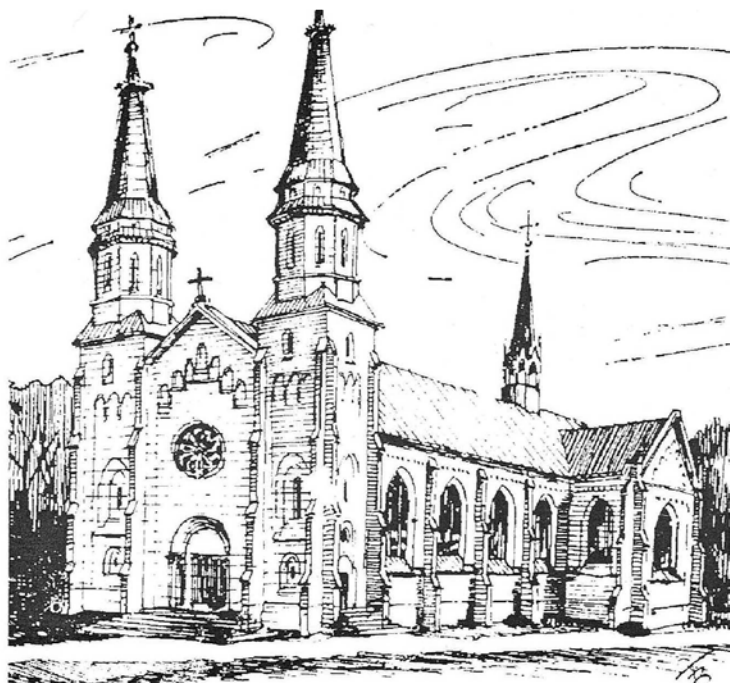
szej parafii: Siostry bezhabitowe „Pocieszycielki Serca Jezusowego” i Siostry Eucharystki. Następnie udał się do Szpitala Powiatowego i do Zakładu Opiekuńczo-leczniczego, by odwiedzić chorych – pomodlił się w kaplicach tam istniejących.

Biskup spotkał się z władzami Miasta i Powiatu, a także z dyrektorami szkół działającymi na terenie parafii. Podczas spotkania zostały zaprezentowane doświadczenia i uwagi w sprawach edukacji młodego pokolenia i przygotowań do Świątowych dni młodzieży.

Na zakończenie wizytacji Biskup odwiedził cmentarz parafialny, gdzie modlił się wraz z wiernymi, którzy przybyli na cmentarz, modlił się za zmarłych parafian i proboszczów, którzy włożyli swą część w rozwój duchowy parafii a już odeszli do Pana Boga.

Biskup był zbudowany stanem duchowym naszej parafii choć powiedział, że jest jeszcze dużo do zrobienia. Docenił także inwestycje służące parafianom i gościom, jak gruntowny remont i instalacja ogrzewania kościoła.

Na zakończenie udzielił wszystkim pasterskiego błogosławieństwa.





*Noc zimowa, mroźna i milcząca...
Z góry na dół śnieżne lecą puchy,
Świat jest jedną białością bez końca:
Drzewa stoją w bieli jako duchy
Z chmur się przesłania księżyc blady,
Nigdzie żadnej drogi nie ma,
Zamieć zawiewa ludzkie ślady,
Ziemię wzięła w posiadanie – zima!*

POLSKIE OBYCZAJE

Zbliżają się Święta Bożego Narodzenia. Tego dnia odczuwamy wielką radość i powinniśmy czuć się wyróżnieni – na świat przychodzi Małeńka Miłość, która obdarzyła nas Miłością Wielką...

Z okazji tych świąt Redakcja Przeglądu Pruszkowskiego wraz z całym Zarządem Pruszkowskiego Towarzystwa Kulturalno-Naukowego pragnie podziękować Przyjaciołom naszym, Pani Staroście i Panu Prezydentowi, członkom Rady Powiatu i Miasta, wszystkim pracownikom Starostwa Powiatowego i Urzędu Miejskiego za życzliwość i wsparcie. Wszystkim naszym Przyjaciołom i Czytelnikom życzymy, by zasiedli do wieczerzy wigilijnej w otoczeniu najbliższych, a święta przeżyli w zdrowiu i radości. Na nadchodzący Nowy 2015 Rok życzymy wielu sukcesów i wielu miłych dni...

Boże Narodzenie w tradycji polskiej było zawsze świętem wielkim – dawniej powiadano – godnym, które należy obchodzić wesoło, czyli godnie. Nic dziwnego, że nasze kolędy i pastorałki, czy życzenia wyrażają tę ogromną radość – są równocześnie dowcipne. Przytoczę tu treść życzeń, które składali gospodarzom goście, zaproszeni w dzień świętego Szczepana.

Rzucając w siebie garście poświęconego owsa, wykrzykiwali:

Na szczęście na zdrowie

Na ten święty Szczepan

Żeby wam się rodziła kapusta i rzepa

Ziemniaki, jak pniaki

Żyto jak koryto

Pszenica jak rękawica

*Owiesek jak pański piesek...
Na szczęście na zdrowie,
Na to Boże Narodzenie
Żeby wam się kopło, wodziło, darzyło
W oborze komorze
Co daj Panie Boże!*

Pisałam w zeszłym roku o zakazach, jakie obowiązywały w dzień wigilijny. Były też zakazy na pierwszy dzień Bożego Narodzenia. W gospodarstwach wstrzymywano się od wszelkich prac, nie wolno było sprzątać, zamiatać, nawet przynosić wody ze studni ani gotować. Wszystko musiało być załatwione przed wieczerzą wigilijną. Nie tylko na wsiach stosowano się do tych obyczajów. Do dnia dzisiejszego w wielu domach polskich pierwszy dzień Bożego Narodzenia spędza się w gronie najbliższych, odkładając wizyty na dzień następny. Przestrzega się też zakazów.

W dzień świętego Szczepana święcono owies i ziarna innych zbóż – obsypywano nimi nie tylko siebie, ale i księdza na pamiątkę śmierci św. Szczepana.

Należałoby wspomnieć o nocy sylwestrowej – dlaczego tak radośnie chcemy ją spędzać?

Według proroctwa Sybilli i legendy w roku 1000 miał nastąpić koniec świata. Świat miał być spalony wielkim ogniem przez skrzydlatego, latającego, ognistego smoka Lewiatana. Legenda głosiła, że potwór ten uwięziony został w lochach Watykanu przez papieża Sylwestra I w IV wieku i skuty łańcuchami, z paszczą zakneblowaną pieczęcią Rybaka. Miał on tak spać do końca pierwszego tysiąclecia. Wtedy miał się obudzić i spalić niebo i ziemię. W roku 999 nowy papież przyjął imię Sylwestra II. We wszystkich krajach chrześcijańskich zapanował strach. Historycy nazwali ten okres *kryzysem millenium*.

Ludzie czekali na godzinę 24.00. Gdy wybiła północ, a smok nie ukazał się na moście świętego Anioła, rozpacz i przerażenie przemieniły się w szaloną radość. Tłumy Rzymian wyległy na ulice,

śmiejąc się i tańcząc. Papież Sylwester II udzielił papieskiego błogosławieństwa *urbi et orbi* – miastu i światu na nowy rok, na nowe tysiąclecie. Na pamiątkę tego wydarzenia przywitanie nowego roku i zabawy związane z tym dniem nazywamy Sylwestrem.

Święto Nowego Roku ma swe korzenie w tradycji antycznej i kalendarzach rzymskich. Dzień 1 Januara (stycznia) otwierał kalendarz oficjalnych rzymskich świąt religijnych i państwowych, był połączony ze świętem boga rzymskiego Janusa.

Kalendarz rzymski został zreformowany przez Juliusza Cezara (kalendarz juliański). W roku 1583 papież Grzegorz XIII dokonał reformy kalendarza (kalendarz gregoriański). Nowy kalendarz obowiązuje w Polsce od roku 1586. Nowy Rok, jako odrębne święto, figuruje w tym kalendarzu, obchodzi się je dopiero od 1630 roku.

W Polsce przez wiele lat traktowano Nowy Rok jako oktawę Bożego Narodzenia. Tego dnia spotykano się w gronie przyjaciół przy suto zastawionym stole; dziewczęta wróżyły sobie lejąc do wody roztopiony wosk lub ciekły ołów.

Do Trzech Króli trwało świętowanie Bożego Narodzenia. Wieczorami spotykano się z przyjaciółmi i bawiono się. Do Trzech Króli kobiety nie brały do ręki żadnych igieł ani wrzecion. Wierzono, że w domu od Wigilii mogą być dusze zmarłych, a kręcące się wrzeciona, kołowrotki i ostre igły mogłyby wyrządzić im krzywdę.

Znane były spotkania mieszkańców wsi, a także odwiedziny kolędników. Do dnia dzisiejszego ten zwyczaj jest mile widziany w różnych miejscowościach. Obchody i przedstawienia kolędnicze wywodzą się z prastarych obrzędów rolniczych z udziałem masek zwierzęcych i postaci przebranych za zwierzęta.

Pięknym zwyczajem były jasełka. Legenda głosi, że zapoczątkował je sam św. Franciszek z Asyżu. „On to w 1223 roku, w noc Bożego Narodzenia, na leśnej polanie ustawił oświetlony pochodniami żłobek i poprowadził stamtąd uroczystą procesję, aby wraz z mnichami i wiernymi modlić się i łączyć z całym światem w radości Narodzenia Bożego” (*Polskie obrzędy i obyczaje*).

W Europie Zachodniej w XV–XVIII wieku dramaty religijne przygotowywane przy klasztorach i kościołach, pod wpływem modnych wówczas teatrów marionetkowych, stały się obyczajem religijnym i częścią obchodów kościelnych Bożego Narodzenia. U nas, w Polsce, jasełka kościelne wprowadzili zakonnicy i misjonarze włoscy i francuscy. Przedstawienia te nazwane zostały od staropolskiego słowa *jasło* – *żłób*. W Polsce znane też były widowiska herodowe, odgrywane przez aktorów – amatorów.

W czasie Bożego Narodzenia wykonywane są szopki. Najpiękniejsze, pełne kunsztu artystycznego wykonywane były od połowy XIX wieku przez majstrów z Krakowa i wsi podkarpackich. Za pierwszych twórców tych arcydzieł uważa się murarza i kaflarza Michała i Leona Ezenekierów z Krakowa (1860 rok).

Właściciele szopek przygotowywali przedstawienia szopkowe.



PTK-N

PTK-N swą działalnością obejmuje coraz więcej osób. Wykłady, organizowane przez nas interesują słuchaczy – są na wysokim poziomie i wyjaśniają pewne zjawiska i fakty historyczne. Na prośbę wielu osób drukujemy dwa wykłady. Nie możemy, tak jak życzyliby sobie nasi członkowie, umieszczać wszystkich wykładów, ponieważ pragniemy w naszym wydawnictwie mówić o historii miasta i jego mieszkańcach. Za dwa lata Pruszkowianie będą obchodzić 100-lecie nadania praw miejskich. Pragniemy przybliżyć czyny i życie tych, którzy tu mieszkali, którzy mieli wpływ na rozwój miasta, którzy tworzyli jego historię.

W tym numerze przypomnimy postać pana Jana Piotrowskiego i przybliżymy też postać zaniaka Andrzeja Brzeskiego i jego muzyczną karierę.

Ciągle powraca temat Powstania Warszawskiego. Muzeum Dułag 121 zorganizowało wiele spotkań, między innymi dwudniową sesję, podczas której świadkowie „tamtych czasów” opowiadali o pomocy, jakiej udzielali oni lub ich rodzice warszawiakom. Obchody 70 rocznicy powstania zakończyło spotkanie z Władysławem Bartoszewskim, który opowiadał o tym, jak znalazł się w Pruszkowie i jakie tu nawiązał kontakty.

My uczciliśmy powstanie i jego bohaterów wykładami, koncertami. Jeden z koncertów, to występ zespołu Wrzos” (zespół wystąpił na jednym z wykładów o Powstaniu Warszawskim) – drugi koncert, sponsorowany przez panią Starostę, pana Prezydenta i PTK-N – to występ pań Elżbiety Marciniak – Kuszakiewicz i Karoliny Molińskiej oraz panów Jerzego Kuszakiewicza i Artura Pastuszko.

Ostatnim akcentem upamiętniającym powstanie była promocja książki prof. Drozdowskiego „Powstanie sierpniowe”. Spotkanie to uświetnił poezją i czytaniem wyjątków z promowanej książki Stanisław Sparażyński.

Profesor Drozdowski zagrał kilka pieśni patriotycznych z okazji zbliżającej się rocznicy odzyskania niepodległości. Cała sala śpiewała.

Minęło 100 lat od wybuchu drugiej wojny – sto lat od momentu, gdy Polacy przygotowywali się do czynu zbrojnego, który dał nam wolność.

W tym roku będziemy jeszcze mówili o sytuacji na ziemiach polskich przed wybuchem pierwszej wojny światowej, przybliżymy też dzieje Uniwersytetu Jagiellońskiego

Pragnę jeszcze wspomnieć o dwóch uroczystych spotkaniach zorganizowanych przez starostę Powiatu Pruszkowskiego panią Elżbietę Smolińską i prezydenta Pruszkowa pana Jana Starzyńskiego.

Nasze starostwo ustanowiło medal „Za zasługi dla starostwa”. Wśród odznaczonych jest prezes PTK-N Irena Horban.

Pan Prezydent, jak każdego roku, zorganizował spotkanie z przedstawicielami kultury, nauki, biznesu i kombatanami. Wśród wyróżnionych statuetką „Urbs nova” znalazła się Książnica Pruszkowska i prezes ŚŻŻAK koła nr 6 – Pruszków, pan Zdzisław Zaborski.

Całun Turyński w świetle badań naukowych

Turyn jest miastem w północnych Włoszech. W mieście tym, w katedrze pw. św. Jana Chrzciciela, w przepięknej barokowej Kaplicy Królewskiej stanowiącej łącznik między katedrą i pałacem królewskim, w niszy nad ołtarzem, w drewnianej, obitej srebrem skrzyni przechowywana była przez kilkaset lat lniana tkanina długości 4,36 cm, szerokości 1,10 m, grubości ok. 0,3 mm. Na płótnie tym, w niewyjaśniony do dziś sposób, utrwaliło się odbicie ciała mężczyzny w wieku ponad 30 lat, ok. 183 cm wzrostu, wagi ok. 80 kg. Jak wykazują ślady na płótnie, mężczyzna ten został według prawa rzymskiego ubiczowany i ukrzyżowany, natomiast pogrzeb miał zgodny ze zwyczajem żydowskim. Według tradycji w płótno to zawinięte było w grobie ciało Jezusa z Nazaretu.

To płótno zwane jest właśnie Całunem Turyńskim. Nie ma na świecie drugiego obiektu materialnego, który byłby zbadany tak dokładnie. Nie ma zarazem drugiego, który wzbudzałby tak silne kontrowersje i spory. Nieprzypadkowo o miejscu przechowywania Całunu należy mówić w czasie przeszłym. Po pożarze Katedry Turyńskiej w nocy z 11 na 12 kwietnia 1997 roku, kiedy to (po raz drugi w historii) Całun został uratowany niemal cudem, miejsce przechowywania płótna znane było tylko kilku osobom. Oficjalne dochodzenie w sprawie tego wydarzenia wykazało, że przyczyną pożaru było zwarcie w instalacji energetycznej. Istnieje jednak mocno uzasadnione podejrzenie (graniczące z pewnością), że było to podpalenie. Tajemniczy telefon poinformował policję o tym, że będzie pożar na 45 minut wcześniej, nim pojawiły się płomienie. Pożar wybuchł w Kaplicy Królewskiej, na jej podłodze znaleziono ślady fosforu. Na szczęście skrzynia z Całunem kilka dni wcześniej

została przeniesiona w inne miejsce, gdyby nie to, moglibyśmy już mówić o Całunie tylko w czasie przeszłym. Podobnie 1 listopada 1972 roku do Kaplicy Królewskiej wrzucono przez okienko w dachu płonąca pochodnię w celu zniszczenia Całunu.

Zanim przejdę do opisaniania historii i badań Całunu Turyńskiego, chciałbym wyjaśnić pewną okoliczność.

Bardzo wiele osób (nie wyłączając świata nauki i mediów) usiłuje stworzyć wrażenie, że Kościołowi Katolickiemu bardzo zależy na autentyczności Całunu i że – jakoby – utrudniał jego naukową weryfikację. Wynika to z totalnego nieporozumienia. Kościół jest strażnikiem WIARY, która nie powinna – wręcz nie może – opierać się na jakimkolwiek dowodzie materialnym. Zarazem Kościół nie może odżegnać się od Całunu i powiedzieć, że go nie interesuje. Z bardzo prostej przyczyny. Jeśli Całun jest autentykiem, to przecież jest najcenniejszą relikwią chrześcijaństwa. Jest świadkiem męki Jezusa Chrystusa. Wiele, bardzo wiele wskazuje na to, że jest to naprawdę płótno grzebalne Człowieka znanego w historii jako Jezus z Nazaretu. Ale – i tu musimy mieć tego świadomość – NIE MA, NIE BYŁO I NIGDY NIE BĘDZIE dowodu na autentyczność Całunu Turyńskiego. Z powodów podanych powyżej to musi pozostać przedmiotem naszej wiary. Nie wolno nam patrzeć na Całun jako na dowód materialny Zmartwychwstania, po prostu dlatego, że mamy w to wierzyć, a nie – wiedzieć. Wolno nam jednak wierzyć, że właśnie w to płótno owinięte było w grobie ciało Zbawiciela. I zawsze będzie to WIARA, nawet wtedy, gdy bardzo ostrożnie liczone prawdopodobieństwo pomyłki (prawdopodobieństwo, że człowiek z Całunu nie jest Jezusem) wynosi jeden na miliard (nawet wtedy, gdy się wie, że na obszarze Palestyny mieszkało w I i II wieku n.e. łącznie ok. 2 miliony mieszkańców).

Krótko o historii płótna.

Udokumentowana historia Całunu Turyńskiego rozpoczyna się w połowie XIV wieku. 19 września 1356 roku, pod miejscowością Poitiers (Francja), w bitwie pomiędzy wojskami angielskimi i fran-

cusкими poległ chorąży króla Francji Jana Dobrego, rycerz Geoffrey de Charny. Rodzina rycerza zaczęła wystawiać „plótno grzebalne Chrystusa” (dla ścisłości: niektóre źródła podają, że rodzina Geoffrey’a de Charny wystawiała Całun już w 1353 roku). Niestety, połowa XIV wieku to taki okres, gdy co poniektóre relikwie mnożyły się w sposób zgoła nie cudowny. Toteż miejscowy biskup, Henri de Poitiers, zakazał im wystawiania tego plótna. Odwołali się do Papieża, który zezwolił. Zatargi trwały wiele lat. W 1389 roku biskup Pierre d’Arcis napisał do Papieża memorandum w którym stwierdził, że jest to falsyfikat, i że „zna fałszerza, który to chytrze namalował”. I tu od razu trzeba stwierdzić, że to stwierdzenie na pewno mija się z prawdą. Wizerunek na plótnie na pewno nie został namalowany. Uprzedzając nieco wyniki badań – stwierdzono, że ten wizerunek nie powstał poprzez dodanie czegokolwiek do plótna, na pewno nie został on namalowany. Struktura wizerunku jest tak złożona, że nawet dysponując całą współcześnie osiągalną techniką nikt nie jest w stanie wytworzyć wizerunku o takich właściwościach. Tak więc, choć zapewne działając w dobrej wierze, biskup skłamał. O tym jednak i o innych wynikach badań – dalej. W tej chwili istotna jest inna konstatacja. „Udokumentowana historia” – to znaczy, iż możemy mieć pewność, że obiekt oglądany w XIV wieku jest tym samym, który oglądamy dzisiaj. Mówiąc jeszcze inaczej, jeśli jest to falsyfikat, to wykonany został na pewno wcześniej, niż w połowie XIV wieku.

Czy nic nie wiadomo o wcześniejszych losach Całunu? Nic „na pewno”. Jednak angielski historyk Ian Wilson opublikował książkę (wydaną w języku polskim w 1983 roku przez wydawnictwo PAX) pt. „Całun Turyński”. Treścią książki jest hipoteza co do wcześniejszych losów Całunu. Wg Wilsona apostołowie po znalezieniu plótna w Grobie znaleźli się w bardzo niewygodnej sytuacji. Plótno grobowe wg religii żydowskiej było przedmiotem nieczystym i należało je natychmiast zniszczyć. Apostołowie złożyli więc plótno wielokrotnie tak, aby widoczny był tylko fragment z twarzą Człowieka z Całunu. Tak złożony Całun został przybity gwoździami do

desek i przedstawiany jako chusta, Prawdopodobnie tak powstała legenda o chuście św. Weroniki (*vera icon* – prawdziwe oblicze). Ok. 55 r.n.e. Całun został przewieziony przez jednego z uczniów Jezusa, Tadeusza, do miejscowości Edessa we wschodniej Turcji (obecnie Urfa). Tam miał miejsce jedyny w historii — i to znany tylko z legendy — cud związany z Całunem. Władca Edessy, Abgar V został uzdrowiony z trądu i paraliżu przez wizerunek na płótnie.

W Edessie Całun przechowywany był do VI lub X wieku; najpóźniej w 944 roku znalazł się w Konstantynopolu. W 1204 roku został przywieziony do Francji jako zdobycz z wyprawy krzyżowej i przechowywany był w zakonie Templariuszy. W 1307 roku król Francji Filip Piękny nakazał kasatę Zakonu i aresztowanie zakonników. Jedną z czołowych postaci zakonu nosiła nazwisko de Charnay i prawdopodobnie zdołała ukryć Całun u swej rodziny. Drobną różnicą w pisowni nazwiska nie jest istotna (de Charny – de Charnay), w owym czasie pisownia nazwisk nie była unormowana. Tyle hipoteza Iana Wilsona.

Kilkadziesiąt lat po wspomnianej bitwie, w 1453 roku wnuczka Geoffreya, Małgorzata, przekazała Całun rodzinie książąt sabaudzkich. Sabaudia jest krainą historyczną w południowo-wschodniej Francji, obejmującą północną część Alp Francuskich, „zahaczającą” o północno-zachodnie Włochy. Książęta sabaudzcy byli prawnymi właścicielami Płótna przez 530 lat, aż do 1983 roku, kiedy to Umberto II Sabaudzki w testamencie zapisał Całun Stolicy Apostolskiej.

W XV wieku stolicą Sabaudii było miasto Chambery (obecnie we Francji). Całun przechowywany był w Katedrze, w specjalnym drewnianym relikwiarzu, obitym srebrem. Omal nie skończyło się to tragicznie. W 1532 roku, w nocy z 3 na 4 grudnia w zakrystii drewnianej katedry wybuchł pożar, który błyskawicznie objął całą budowlę. Skrzynia z Całunem w ostatniej chwili i z narażeniem życia została wyniesiona z szalejącego żywiołu przez klucznika zakonnego. Żar był jednak tak wielki, że stopiło się srebro, któ-

rym obita była skrzynia. Jedna kropla stopionego srebra przepaliła drewno i spadła na złożone płótno, wypalając w nim 22 dziury. Szczęśliwie uszkodzenia te znalazły się niemal całkowicie poza wizerunkiem Postaci na Całunie. Dwa lata później dziury zostały starannie załatane, a całe płótno podszyte warstwą płótna holenderskiego. W specjalnym dokumencie opisano dokładnie te zabiegi.

W 1578 roku Całun przewieziono do nowej stolicy Sabaudii, do Turynu. Pretekstem do przewiezienia był fakt, że żyjący wtedy w Mediolanie w opinii świętości Karol Boromeusz postanowił wypełnić ślub złożony w czasie zarazy i udać się pieszo do Chambery, aby oddać hołd Całunowi. Chcąc oszczędzić świątobliwemu biskupowi (zmarł 6 lat później) ponad 200 km marszu przez Alpy, Całun przewieziono 14 IX 1578 roku do Turynu. Do Chambery nigdy już nie powrócił. 10 X dotarł tam Karol Boromeusz i wtedy miał miejsce pierwszy prywatny pokaz Całunu.

Przez następne 320 lat Całun wystawiano publicznie 16 razy, mniej więcej tyle samo było pokazów prywatnych. Jedna z publicznych ekspozycji miała miejsce w 1898 roku, z okazji 50 rocznicy zjednoczenia Włoch oraz ślubu w rodzinie książąt Sabaudzkich. I wtedy zaszło coś, co nieodwracalnie zmieniło sposób patrzenia na to płótno.

Amator i entuzjasta bardzo wtedy młodej i początkującej dziedziny, jaką była fotografia, adwokat z zawodu, Secondo Pia zdołał przełamać niechęć opiekunów Całunu i uprosić zgodę na sfotografowanie płótna. Nie było to wbrew pozorom takie łatwe. W katedrze, gdzie wystawiano Całun, trzeba było zbudować specjalne rusztowanie, aby umieścić aparat fotograficzny – bardzo jeszcze wtedy prymitywny – w odpowiednim położeniu względem płótna. Secondo Pia mógł działać tylko w nocy, w ciągu dnia katedra była pełna pielgrzymów. Nie było wtedy jeszcze klisz, a negatywowy materiał światłoczuły był наносzony na płyty szklane. Naświetlanie musiało trwać kilkanaście minut. Po naświetlaniu dorożką wiozł płyty do swojego laboratorium. Pierwsze eksperymenty nie były udane, dopiero wykonane 28 maja 1898 roku 20 – minutowe naświetlanie dało pożądany efekt.

Kiedy jednak nasz fotograf zanurzył szklaną płytę w wywoływaczu, przeżył największy wstrząs w swoim życiu. Jak sam potem przyznał – na chwilę przestało mu bić serce. Na szklanej płycie zobaczył zdjęcie ukrzyżowanego Człowieka.

Tak, zdjęcie. Z wszystkimi odcieniami szarości, pełny pozytyw obrazu. Secondo Pia w jednej chwili zrozumiał, że to, co widzimy na płótnie, to fotograficzny negatyw Postaci i że jest pierwszym człowiekiem od blisko dwóch tysięcy lat, który ogląda Chrystusa tak, jak on naprawdę wyglądał gdyż Całun MUSI BYĆ autentycznym! Pojęcie negatywu powstało razem z fotografią, wcześniej nie było znane. Kto, a przede wszystkim PO CO wytwarzałby wizerunek negatywowy na kilkaset lat przed wynalezieniem fotografii i powstaniem pojęcia negatywu!?

I chociaż zdjęcie negatywu Całunu obiegało cały świat jako sensacja stulecia, to jednak to niesamowite odkrycie nie przyniosło naszemu fotografowi sławy. Został oskarżony o retusz i fałszerstwo. Bronić się nie mógł. Całun ponownie zamknięto w skrzyni – tym razem na 33 lata. Nie brakowało jednak już i w tamtych czasach ludzi, którzy rzetelność analizy naukowej przedkładali ponad ślepe antykościelne zacietrzewienie, ponad obowiązujący wówczas w nauce „racjonalizm” Przykładem może być znany agnostyk, profesor anatomii porównawczej na Sorbonie, Yve Delage, który 21 IV 1902 roku wygłosił odczyt analizujący zdjęcia wykonane przez Secondo Pia. Odczyt ten zakończył słowami: „Panowie, Człowiek z Całunu jest Chrystusem”.

Dopiero w 1931 roku miała miejsce następna publiczna ekspozycja płótna, w czasie której została wykonana przez Giuseppe Enrie seria 14 zdjęć całego Całunu oraz poszczególnych jego fragmentów. Obróbka materiałów odbywała się komisyjnie. Secondo Pia – już jako starszy człowiek – został w pełni zrehabilitowany, uwolniony od zarzutu fałszerstwa. Wykonane na nowo zdjęcia w pełni potwierdziły jego odkrycie.

Zainspirowany zdjęciami Enrie go francuski lekarz Pierre Barbet przeprowadził serię eksperymentów na amputowanych kończynach i zwłokach ludzkich po śmierci. W efekcie potwierdził anatomiczną

poprawność śladów po gwoździach w nadgarstkach, a nie na środku dłoni, jak to sobie wtedy wyobrażano. Środek dłoni jest zbyt słabym miejscem i pod ciężarem ciała dłoń uległaby rozerwaniu – ciało spadłoby z krzyża.

W kolejnych latach zdjęcia Enriego poddano szczegółowej analizie. I ta analiza dała wstrząsające rezultaty.

Rany Człowieka z Całunu.

Na całym ciele Człowieka z Całunu zidentyfikowano ponad 600 różnego rodzaju ran i urazów, w tym co najmniej 70 głębokich ran klutych głowy i ponad 100 śladów po uderzeniu biczem.

Już sama dokładna analiza obrażeń twarzy Człowieka z Całunu jest wstrząsająca. Spuchnięty prawy policzek. Wyrwany fragment wąsów i brody (przy ustach) z prawej strony. To wszystko pozostałość po jednym potężnym uderzeniu w twarz. Złamany nos (oddzielenie chrząstki nosa od jego kości). Rozcięta lewa brew. To prawdopodobnie pozostałości po uderzeniu kijem w twarz. Charakterystyczny, w kształcie odwróconej trójki, wypływ krwi z przebitej żyły czołowej. To – prawdopodobnie — po koronie cierniowej. Mnóstwo drobnych zranień o ostrych brzegach – ślady po upadkach twarzą na kamienie.

Więcej informacji na temat ran Człowieka z Całunu znajduje się w dalszej części tego opracowania. W tej chwili chciałbym zauważyć coś innego. Ponad 600 ran... i każda z tych ran „zachowała się” w 100 % zgodnie z anatomią ciała ludzkiego. Każda rana krwawiła dokładnie tak, jak powinna przy zadaniu urazu w ten sposób i w tym miejscu. Całun był pod tym względem wyjątkowo dokładnie badany. Nie znaleziono ani jednej rany, która byłaby pod tym względem podejrzana. Jeśli zatem Całun byłby fałszyfikatem, należy przyjąć, że w XIV wieku żył ktoś, kto znał anatomię ciała ludzkiego przynajmniej na poziomie XX, a nawet XXI wieku.

Na podstawie śladów pozostawionych na płótnie bez trudu zidentyfikowano narzędzie biczowania. Zachowane w muzeach, słynne i straszne zarazem rzymskie *flagrum*, krótki kij, na jego końcu dwa

tub trzy rzemienie, na końcu których przymocowane były kulki ołowiane rozcinające skórę w miejscu uderzenia. Bicie pozostawiły po sobie charakterystyczne „ósemkowe” ślady o długości 38 mm. Ponad 100 zidentyfikowanych śladów (niektóre źródła podają liczbę 90, inne – do 120) odpowiada 50 do 60 uderzeniom bicia. A przecież nie zachowało się odbicie boków Postaci, ogólna ilość uderzeń musiała być większa.

Wszystkie ślady dają się pogrupować po 3 (lub 2) – taka grupa odpowiada jednemu uderzeniu bicia. I rzecz bardzo charakterystyczna: nie są umieszczone przypadkowo. Można odtworzyć, gdzie znajdowała się rękojeść bicia, gdy zadawano to uderzenie. W ten sposób przy pomocy komputera odtworzono, w jakiej pozycji znajdowało się ciało Człowieka z Całunu w czasie biczowania i jaki był wzrost bijących. Ofiara przywiązana była za ręce do krótkiego, ok. 80 cm słupa i wygięta (pochylona) w łuk. Bijących było dwóch, stali po dwóch stronach skazańca. Ten, który stał po prawej stronie był wyższy od swego kompana i bardziej znęcał się nad swoją ofiarą. A jednak wyraźnie oszczędzana była przed uderzeniami okolica serca, a to dlatego, że bezpośrednie uderzenie w okolicę mostka, po jego lewej stronie mogło spowodować nawet śmierć biczowanego. Na wizerunku przedniej części ciała Człowieka z Całunu jest stosunkowo niewiele śladów uderzeń. Na wizerunku tylnej części ciała od karku po pięty trudno znaleźć zdrowe, niepokaleczone miejsce. Biczowanie było systematyczne.

Jak już wspomniałem, na głowie Człowieka z Całunu zidentyfikowano ponad 70 głębokich ran klutych. Ile ich było dokładnie, nie wiadomo. Szczeka Ukrzyżowanego po śmierci została podwiązana chustą, aby nie opadała. Chusta ta związana została na czubku głowy przysłaniając wiele ran po cierniach. Występuje pewna przerwa pomiędzy odbiciem przodu i tyłu postaci – to właśnie ta chusta.

Ślady po cierniach nie są jednak rozmieszczone na obwodzie głowy, a równomiernie rozłożone na całej jej powierzchni. Jak więc zatem wyglądała „korona cierniowa”? Czy nie jest to sprzeczne z Ewangelią?

Nie jest. Po prostu w I wieku n.e. korona królewska miała kształt kołpaka. Była to ozdobna czapka nakładana na głowę panującego. Stąd stos ciernia, rzucony na głowę i przewiązany sznurem został przez Ewangelistę nazwany „koroną cierniową”.

Na podstawie śladów na płótnie można stwierdzić, że w owych czasach skazańcy nieśli na plecach na miejsce straceń tylko poprzeczne belki krzyża. Belka ta, tzw. *patibulum*, miała przekrój mniej więcej 20 x 30 cm i długość ok. 2 m. Ważyła ok. 50 kg. Skazańcy nieśli belki przywiązane na całej długości sznurami do wyprostowanych rąk. Jeden koniec belki, ten przy lewej ręce, przywiązany był sznurem do lewej kostki, aby uniemożliwić skazańcowi ucieczkę. Proszę jednak spróbować wyobrazić sobie, jak wyglądał upadek pod tak niesioną belką. To był upadek twarzą na kamienie. Ręce nie mogły osłonić twarzy ani zamortyzować upadku.

Przywiązana do lewej kostki belka powodowała także to, że w pierwszej fazie upadku Człowiek z Całunu upadał całym ciężarem ciała na lewe kolano. Na skutek tych upadków kolano to nie mogło pod koniec Drogi Krzyżowej (liczyła ona ok 700 m) spełniać swej funkcji fizjologicznej. Mówiąc po prostu, Człowiek ten nie był w stanie samodzielnie iść.

Dlaczego w takim razie w Ewangeliach napisane jest, że Jezus niósł krzyż, a nie – że niósł tylko *patibulum*? Po prostu, o człowieku niosącym belkę krzyża mówiło się wtedy: „Niesie swój krzyż”.

Na plecach Człowieka z Całunu są wyraźnie ślady miejsc, w których belka opierała się o ciało. Ślady po biczowaniu są w tych miejscach podbiegnięte krwią. Można odtworzyć dokładnie położenie belki. Ale – zarazem fakt, że poprzecinana biczami skóra nie zmieniała się w tych miejscach w wielkie krwawiące rany świadczy, że musiało być coś pomiędzy belką a ciałem. Człowiek z Całunu szedł zatem na miejsce straceń w szacie.

Dlaczego? Przecież nagość skazanych była jednym z elementów pohańbienia, jednym z elementów kary?

Szata miała ukryć ślady biczowania. Według prawa rzymskiego sądzony pod prokuratorem skazaniec nie mógł być i biczowany,

i ukrzyżowany. Krzyżowanie było dostatecznie okrutne, aby je jeszcze poprzedzać biczowaniem. Dlaczego tu zastosowano obie kary?

Prawdopodobnie dlatego, że skazujący tego Człowieka nie miał początkowo zamiaru skazać go na śmierć. Chciał go „tylko” ubiczować. Potem musiał zmienić zdanie i – aby ukryć ślady biczowania – nakazał, aby Skazany siedł w szacie.

Pierwszym etapem ukrzyżowania było przywiązanie, a następnie przybicie rąk do *patibulum*. Następnie belkę na sznurach wciągano na umieszczony na stałe pionowy słup, osadzano i przybijano stopy. Krzyż miał więc kształt litery T.

Dochodzimy do jednej z zasadniczych różnic pomiędzy wizerunkiem na Całunie, a tradycyjnymi wyobrażeniami postaci Ukrzyżowanego. Ślady po gwoździach wcale nie znajdują się na dłoniach, tylko na przegubach Człowieka z Całunu. I – jak się okazało – tylko na przegubach mogą się znajdować!

Jak już wspomniałem, w latach 30-tych XX -wieku zainspirowany zdjęciami Całunu francuski lekarz Pierre Barbet przeprowadził serię eksperymentów na amputowanych kończynach, a także na zwłokach ludzkich. Mówiąc po prostu, krzyżował ludzi po ich śmierci. Okazało się wtedy, że jeśli gwoździe zostaną wbite w dłoń, to pod ciężarem ciała dłoń ulegnie rozerwaniu i ciało z krzyża spadnie. Inaczej jest w przypadku przegubu. Na skutek tzw. wiązania poprzecznego nadgarstka jest to jedno z najmocniejszych miejsc w organizmie ludzkim. Tu nawet na jednej ręce można powiesić człowieka.

Tylko... że przez to miejsce, zwane w anatomii szczeliną Destota, przechodzi nerw poruszający całą dłoń. Jeden z najbardziej rozbudowanych nerwów w ciele ludzkim. Bezpośredni ucisk, czy też przerwanie tego nerwu, powoduje ból naprawdę trudny do wyobrażenia. A gwoździe musiał rozepchnąć kości nadgarstka, miał bowiem przekrój kwadratowy o boku 8 mm. To rozepchnięcie powodowało napięcie ścięgien w dłoni, w wyniku czego kciuk skazańca był przygięty do środka, schowany wewnątrz dłoni. Jeśli

będziecie Państwo mieli okazję obejrzeć zdjęcie Całunu, zwróćcie uwagę, że ani na lewej, ani na prawej dłoni nie ma śladu kciuka. Kciuki są przykryte dłonią.

To również musiałby wiedzieć średniowieczny fałszerz!

Dlaczego zatem mamy tyle krucyfiksów, na których gwoździe są wbite w dłonie? Tu trzeba wyjaśnić, że pierwsze wizerunki Ukrzyżowanego powstały dopiero w IV wieku. Wcześniej Kościół obywatł się bez tych wizerunków. Wtedy już od kilkuset lat kara krzyżowania nie była stosowana. Nie można było zobaczyć, jak wygląda ukrzyżowany człowiek. W Ewangeliach napisane jest o gwoździach wbitych w dłonie.

Tak rzeczywiście jest w łacińskim tekście Ewangelii. Ale już w greckim oryginale (który to oryginał został dopiero przetłumaczony na łacinę) na określenie miejsca wbicia gwoździ użyto greckiego słowa *cheir*, które oznacza dłoń, ale razem z przedramieniem. W łacinie nie ma słowa, które oznaczałoby dokładnie to samo. W łacińskim tekście zastosowano zatem słowo „dłoń” – i tak powstał błąd, który dotrwał do naszych czasów.

Prawa stopa Człowieka z Całunu została siłą „wyprostowana” i położona na pionowej belce krzyża. Przy tej operacji stopę skręcono w kostce. Lewa stopa została położona na prawej a następnie obie przybito jednym gwoździem. Nogi Ukrzyżowanego były niemal całkiem wyprostowane, co mogło oznaczać ze strony oprawców chęć skrócenia agonii.

Jaka była przyczyna, że człowiek zawieszony na krzyżu umierał? To pytanie bynajmniej nie jest banalne. Rany – choć potwornie bolesne – były słabo krwawiące. Na krzyżu umierało się nie z powodu utraty krwi.

Przyczyną śmierci było uduszenie.

Człowiek zawieszony na rękach miał nienaturalnie uniesioną klatkę piersiową i oddech był za płytki, aby podtrzymać życie. Co robił skazaniec? Próbował się unieść na nogach i podciągnąć na rękach, aby zaczerpnąć choć trochę powietrza. W przypadku

Człowieka z Całunu to unoszenie było dodatkowo bolesne – lewe kolano nie mogło być pomocne, a prawa kostka była wykręcona. Każdy najmniejszy ruch powodował potworny ból w nadgarstkach. Połamane nogi uniemożliwiało dalsze unoszenie się na nogach i skazany po kilku minutach umierał przez uduszenie.

Jednakże Człowiek z Całunu nie ma połamanych podudzi. Ma natomiast ranę w prawym boku. Owalna rana 45 na 15 mm dokładnie odpowiada wielkością grotowi włóczni rzymskiej. Cios był zadany fachowo, między 5 a 6 żebro, prawdopodobnie przez żołnierza. Ci bowiem mieli nawyk atakowania przeciwnika z prawej strony, gdyż lewa część ciała była chroniona przez tarczę. Włócznia zagłębiła się w ciało na ok. 12 cm przebijając prawą komorę serca.

Z rany w boku wypłynęła niespodziewanie wielka ilość krwi i płynów wewnątrztrojanowych („wody”). Ta obfitość była przez wiele lat niewyjaśniona. Dopiero w 1982 roku jeden z profesorów anatomii we Włoszech opublikował swoje specyficzne doświadczenia zawodowe. Jako lekarz często wykonywał sekcje zwłok ludzi, którzy zmarli na atak serca. Jeśli był to atak połączony z pęknięciem mięśnia sercowego, to za każdym razem worek osierdziowy zamieniał się w wielki balon wypełniony krwią, płynem osierdziowym i innymi płynami. Jego przebicie musiało spowodować gwałtowny wypływ płynów na zewnątrz.

Zdjęciu ciała z krzyża towarzyszył zawsze bardzo silny krwotok z ust, nosa, uszu. Zarazem, tradycja żydowska nakazywała pochowanie krwi razem z ciałem. W celu wyłapania, zaabsorbowania możliwie największej ilości krwi, przed zdjęciem ciała z krzyża owijano głowę specjalną chustą. W przypadku Jezusa z Nazaretu ta chusta zachowała się, znana jest jako Chusta z Oviedo.

Badania naukowe Całunu Turyńskiego.

Do pierwszych badań związanych z Całunem należy chyba zaliczyć eksperymenty Pierre Barbeta w latach 30-tych XX

wieku, które potwierdziły poprawność ulokowania ran po gwoździach na ciele Człowieka z Całunu. Wcześniejszy o kilkadziesiąt lat referat prof. Delage'a był tylko analizą – wyjątkowo skrupulatną, dokonaną przez lekarza – zdjęć Secondo Pia. W 1901 roku asystent prof. Delage'a, Paul Vignon sformułował pierwszą hipotezę, jak mógł powstać wizerunek: aloes zmieszany z mirrą w reakcji z oparami amoniaku (psucie się zawartego w krwi i pocie mocznika) wytworzył materiał barwiący.

Kolejne badania wykonywane w latach 50-tych i 60-tych dotyczyły fizycznych skutków ukrzyżowania, analizy procesu, który utrwalił na płótnie odbicie Ciała a także wycieku krwi z boku, a zwłaszcza przyczyn tego, że wyciek był tak obfity.

16 czerwca 1969 roku zebrała się po raz pierwszy 11-osobowa komisja, której celem była ocena możliwości badań naukowych Całunu. Komisja dokonała oględzin płótna, stwierdziła jego zadziwiająco dobry stan, zaleciła rozważne stosowanie metod badawczych i – zamknęła płótno z powrotem w relikwiarzu.

Dopiero ponad 4 lata później, 22 listopada 1973 roku, miał miejsce pierwszy pokaz Całunu w telewizji włoskiej. Niebawem nowy zespół ekspertów pobrał z płótna próbki – 17 pojedynczych nici z różnych miejsc oraz dwie większe próbki: jedna 10 na 40 mm, druga 13 x 40 mm. Badania mikroskopowe próbek potwierdziły antyczne pochodzenie płótna. Okazało się wtedy, że wizerunek ciała nie przenika na drugą stronę tkaniny. Zmiana zabarwienia jest powierzchowna. Potwierdzono brak jakichkolwiek zarysów, które umożliwiłyby oddzielenie obszarów, na których widnieje wizerunek od tych, które stanowią tło.

Plamy krwi mają nieco inną strukturę. Przede wszystkim – przenikają na drugą stronę płótna. A poza tym, jest to jedyny element wizerunku, który jest w pozytywie, a nie w negatywie. Kiedy w czasie wyciągania jednej z nici (z obszaru „zakrwawionego”) nastąpiło jej przerwanie, okazało się że krew osadziła się jedynie na zewnętrznej ścianie nici, nie wniknęła do jej wnętrza.

Ktoś z badaczy porównał to do rozpylenia krwi na płótno tak, jakby to była farba w sprayu.

Jednym z badaczy płótna w 1973 roku był szwajcarski kryminolog prof. Max Frei. Stworzył on wcześniej nową metodę kryminologiczną, od której powstała nowa gałąź nauki, palinologia. Jest to nauka o pyłkach roślinnych. Każda żyjąca roślina emituje do atmosfery niewidoczne gołym okiem formy przetrwalnikowe, o średnicy od 10 do 200 mikrometrów. Unoszą się one w powietrzu i są pochłaniane przez wszystkie porowate substancje, a zwłaszcza tkaniny. Prof. Frei uzyskawszy odpowiednią zgodę przyłożył do Całunu lepką taśmę. Zebrany pył poddał analizie mikroskopowej.

Pierwsze wyniki badań opublikowane zostały w 1976 roku. Prof. Frei znalazł na płótnie m.in. pyłki trzech roślin rosnących na obrzeżach Morza Martwego oraz sześć gatunków charakterystycznych dla okolic Jeziora Tyberiadzkiego (Genezalet). W tym jeden z pyłków należał do rośliny już wymarłej, której pyłki znaleziono w mule zalegającym dno jeziora. Profesor Frei stwierdził, że „w swojej historii tkanina ta na pewno przebywała na terenie Ziemi Świętej”. Chyba że założymy, iż średniowieczny fałszerz przewidział taką metodę badawczą i przed wytworzeniem wizerunku postarał się o tkaninę pochodzącą z Palestyny.

Na marginesie można zauważyć, że prof. Frei wychowany w atmosferze protestantyzmu i bardzo daleki od jakichkolwiek sympatii pro-katolickich, w trakcie badań wyzbył się całkowicie swego sceptycyzmu co do autentyczności Całunu Turyńskiego.

Na tej samej konferencji w 1976 roku swoje odkrycie przedstawił naukowiec z NASA, John Jackson, który wraz z Ericem Jumperem wykorzystywali w swej pracy przyrząd VP-8 Analyser. Aparat ten opracowany w latach 60. poddawał obróbce wykonane z kosmosu zdjęcia terenu zamieniając natężenie oświetlenia na odległość i „produkując” trójwymiarowe wizerunki – na przykład terenów rozważanych jako przyszłe miejsce lądowania człowieka na Księżycu czy na Marsie.

Kiedy obaj badacze – trochę przez przypadek – pod tą kamerę podłożyli zdjęcie Całunu, przeżyli wstrząs nie mniejszy niż kilkadziesiąt lat wcześniej Secondo Pia. Ujrzeni mianowicie trójwymiarową rzeźbę Postaci z Całunu. Odkryli, że w wizerunku na Płótnie utrwalona została informacja trójwymiarowa.

Oto, jak relacjonował to Jackson na II Międzynarodowym Kongresie Syndonologicznym w Turynie:

„Oglądanie Całunu w wizji trójwymiarowej pozwoliło nam odkryć rzeczy niezwykle. Mogliśmy zobaczyć np, że wokół twarzy Ukrzyżowanego owiniętego w prześcieradło znajdowała się chusta, tzw. *mentoniera*, podtrzymująca dolną szczękę, aby nie opadała. Łatwo nam było odtworzyć siłę biczowania. Bicz nie był tylko narzędziem uderzającym ale także kaleczącym. Jezus nie był biczowany w postawie wyprostowanej, lecz pochylonej. Widać było, że Piłat nie chciał zabić Chrystusa, gdyż omijane były okolice serca. Dzięki komputerowi mogliśmy zmierzyć siłę uderzeń oraz wzrost i siłę muskularną oprawców. Analiza elektroniczna pozwoliła nam odtworzyć koronę cierniową, która miała kształt czapy. Na obliczu widać było ślady takich tortur, jak uderzenie kijem i złamanie kości nosa, wyrwanie garści włosów z brody. Na lewej nodze są znaki sznura, którym ofiara mogła być przywiązana do *patibulum*.”

Ta unikalna cecha wizerunku (tzn. trójwymiarowość) wskazuje, że czynnik, który spowodował utrwalenie się obrazu na płótnie miał siłę oddziaływania zmniejszającą się z odległością.

Dziś można powiedzieć, że to było odkrycie przełomowe i spowodowało wielkie zainteresowanie świata nauki Całunem Turyńskim, który w tych kręgach traktowany był dotąd jako średnio-wieczna „relikwia”.

Publiczny pokaz Całunu został zapowiedziany przez Kościół na jesień 1978 roku, z okazji 400-lecia przewiezienia Całunu do Turynu.

Wskutek tego odkrycia (trójwymiarowości wizerunku) na wiosnę 1978 roku zawiązano samofinansujący się zespół naukowców pod nazwą Shroud of Turin Research Project (STURP). 31 przedstawicieli najwybitniejszych laboratoriów świata zorganizowało sprzęt badawczy o łącznej wadze 72 ton i opracowało program badań, jakim chcieliby poddać Całun. Program został przedstawiony do zatwierdzenia Arcybiskupowi Turynu. Ten jednak odmówił wglądu w plan, zgadzając się na wszystkie testy – gdyż jego zdaniem powinna być zachowana swoboda badań naukowych. Postawił tylko jeden warunek: wszystkie próby, którym poddane zostanie płótno, muszą być próbami nieniszczącymi.

W celu uniknięcia jakiegokolwiek uszkodzenia Całunu w trakcie badań, wszelkie próby naświetlań, jakim go poddano, były wcześniej testowane na próbkach płótna lnianego z natężeniem naświetlania 50 razy większym i przez czas 10 razy dłuższy. Jeśli próbka wykazywałaby choćby ślad zniszczenia, z takowej próby na Całunie zrezygnowanoby.

Plan badań był bardzo obszerny. Tu muszę Czytelnika przeprosić, że padną terminy naukowe. Nie jest moim celem tzw. „mydlenie oczu”. Chciałbym tylko zasygnalizować Państwu, jak dokładne i szczegółowe były to badania. Niektóre ich wyniki można znaleźć w wydawnictwie *Applied Optics* w numerze z 15 czerwca 1980 r i z 15 sierpnia 1980 roku. Zostały one omówione przez prof. Gonellę z Wydziału Fizyki Uniwersytetu Turyńskiego na sympozjum we Florencji w dniach od 2 do 5 maja 1984 roku.

Program badań obejmował:

- fotografowanie Płótna w kilku dokładnie określonych zakresach widma (widzialne i ultrafiolet) w świetle odbitym i przepuszczonym. Badanie fluorescencji w zakresie ultrafioletu. Te badania miały na celu określenie sposobu reagowania Płótna na światło.
- bezpośrednia obserwacja mikroskopowa (przy powiększeniu do 500 razy) i mikrofotografia (pow. do 20 razy). To badanie miało pomóc w zbadaniu odbicia światła na sąsiadujących ze sobą niciach splotu

- spektroskopia – bezpośrednio na Całunie, w kilku wybranych wcześniej miejscach o wymiarach 3 x 6 mm nad odbiciem światła widzialnego i ultrafioletowego, Przeprowadzono badanie fluorescencyjne: pobudzano Płótno do świecenia światłem UV (ultrafioletowym) o długości fali 365 nm, i badano odpowiedź płótna w zakresie od 390 do 700 nm z rozdzielczością co 5 nm. To pozwoliło stworzyć ścisłą bazę matematyczną do interpretacji kolorów.
- termografia – dała informację o strukturze powierzchni
- spektroskopia w podczerwieni – informacja o wiązaniach chemicznych na powierzchni nici
- radiografia – dla ujawnienia choćby śladowej obecności pigmentów mineralnych
- badanie fluorescencji i spektroskopia w paśmie X – cel jak wyżej, ale z większą czułością
- analiza mikroskopowa materiału zebranego z powierzchni Płótna lepką taśmą.

Publiczna ekspozycja Całunu Turyńskiego jesienią 1978 roku trwała 6 tygodni i zakończyła się 5 października wieczorem. Po-tem, po przeniesieniu do przylegającego do katedry pałacu, Ca-łun delikatnie rozpięto na specjalnie przygotowanym stole. Miał on specjalną konstrukcję, która umożliwiała ustawianie go pod dowolnym kątem a także usuwanie części blatu. Zaplanowane początkowo na 48 godzin badania przeciągnęły się do 120 godzin. Co przyniosły? A więc:

- Potwierdzono odkrytą wcześniej przez Jacksona i Jumpera z NASA trójwymiarowość wizerunku.
- Cechy wizerunku ciała i plam „krwi” są zupełnie różne. Duże powiększenie i analiza chemiczna włókien wykazały, że czynnik zmieniający kolor działał tylko na szczytowe warstwy nici. W przypadku plam „krwi” oczywiste jest przeniknięcie lepkiego płynu pomiędzy niemi, który je skleił. Wizerunek ciała nie prze-nika na drugą stronę płótna, a plamy „krwi” – tak.
- Plamy „krwi” są z całkowicie skrzepłej krwi, co wykazują wy-

niki kilkunastu różnych badań mikrochemicznych i spektrofotometrycznych (patrz *Applied Optics*). Późniejsze badania serologa włoskiego (grudzień 1982) wykazały, że jest to krew grupy AB. Badania fluorescencyjne i testy mikrochemiczne wykazały niezależnie od tego obecność pierścienia surowicy (*serum*) niewidoczną gołym okiem, naokoło plam krwi. Wygląda na to, że krew wsiąkła w płótno, zanim powstał na nim wizerunek ciała.

- Stwierdzono całkowity brak pigmentów, farb lub innych obcych materiałów na płótnie (z wyjątkiem krwi). Tu powinienem rozwinąć wyniki badań, ale zabrakłoby mi szybko miejsca. Przytoczę więc tylko jedno stwierdzenie: występujące śladowe zanieczyszczenia żelazem, strontem, srebrem i innymi pierwiastkami mają koncentrację całkowicie nieskorelowaną z wizerunkiem ciała, choć żelaza jest więcej w śladach krwi. Światło przepuszczane przez płótno wykazuje plamy, zwęglenia po pożarze, ślady wody i krwi, ale nie wykazuje wizerunku ciała.

To oznacza, że wizerunek na Całunie nie powstał poprzez dodanie czegokolwiek, nie poprzez naniesienie czegoś na płótno!

Włókna, które tworzą obraz, różnią się od leżących niżej swoim żółtym zabarwieniem. Wizerunek jest monochromatyczny (jedno-barwny). Głębia odcieni zależy wyłącznie od liczby zażółconych włókien, a nie od intensywności czynnika, który zmienił ich barwę. Ten kolor nie podlega ekstrakcji ani zmianom pod działaniem ponad 20 odczynników chemicznych mogących reagować z każdym ze znanych barwników organicznych.

Zmiana koloru nici wynika z odwodnienia i utlenienia celulozy.

Mówiąc nieco innymi słowami, wizerunek na płótnie nie powstał przez dodanie czegokolwiek, ale przez ujęcie wody z poszczególnych komórek włókna. Zmiana barwy dotyczy jedynie jednej, wierzchniej warstwy włókien. Cała nić składała się z około 100 splecionych ze sobą włókienek (od 70 do 120) i ma średnicę ok. 0,25 mm.

Ciemniejszy wizerunek – to większa ilość zażółconych komórek, ale każda z nich ma barwę zmienioną w tym samym stopniu, Czy jest możliwe wytworzenie takiego wizerunku „ręcznie”, namalowanie go?

Należałoby w tym celu nanosić barwnik na pojedyncze włókna, nie ma bowiem niczego pomiędzy włóknami, co by je skleіło. Ale czym nanieść ten barwnik, skoro pojedyncze włókno jest cieńsze od najcieńszego włosa (bobra) używanego w malarstwie?

Specjalista z NASA, John Jackson, powiedział, że gdyby nawet miał do dyspozycji całą współczesną technikę i budżet 10 mln dolarów, to nie podjąłby się wytworzenia wizerunku o takich własnościach, jak ten na Całunie.

Swoiste votum separatum do wyników badań STURP zgłosił prof. Walter McCrone, Amerykanin, specjalista od mikroanalizy. Na podstawie znalezionych na płótnie drobin tlenku żelaza (rdzy), która była składnikiem farb żółtych w Średniowieczu, orzekł, że Całun został namalowany. Prof. McCrone nie uczestniczył osobiście w badaniach, dostarczono mu tylko próbki do analizy. Wyniki jego badań zostały zakwestionowane przez innych badaczy. Naturalnym skutkiem namalowania powinna być bowiem większa koncentracja drobin rdzy w miejscach mocniej zaciemnionych, a tak nie jest. Rozkład drobin na powierzchni płótna jest całkowicie nieskorelowany z wizerunkiem. Udokumentowano to bardzo rzetelnie – niestety, nie dociera to do niektórych głów.

Prof. McCrone twierdzi także, że plamy „krwi” zostały namalowane cynobrem. A jednocześnie na lepkich taśmach zebranych z miejsc zakrwawionych zidentyfikował wszystkie składniki krwi: sód, magnez, glin, fosfor, chlor, potas, wapń i żelazo. Ponadto znalazł rtęć i krzem, których we krwi nie ma.

W wydanej w 1998 roku książce „Blood and the Shroud” Ian Wilson przytacza wyniki testów DNA przeprowadzonych przez Marcello Canale, profesora Instytutu Medycyny Sądowej w Genui. Podał on tej analizie dwie nitki wyciągnięte z Całunu w 1978 roku. Analizę tę powtórzono w Centrum Technologii DNA na Uniwer-

sytecie Teksaskim. Już wstępna analiza wykazała obecność części helikoidalnie skręconej podwójnej nici z chromosomami X i Y oraz trzy segmenty genów:

- Globiny beta w segmencie genu chromosomu 11
- Amelogenina X w segmencie genu chromosomu X
- Amelogenina Y w segmencie genu chromosomu Y.

Wyniki testów DNA (potwierdzone jeszcze w kilku innych renomowanych ośrodkach naukowych) przeczą wynikom analizy Waltera McCrone, choć naukowcy zidentyfikowali tylko 700 podstawowych par DNA z ogólnej ilości ok. 3 miliardów.

Skąd wzięły się drobiny barwników na powierzchni płótna? W historii znane są co najmniej 62 przypadki malowania kopii Całunu Turyńskiego. Zazwyczaj po takim malowaniu malarz chciał „uświęcić” swoją kopię i przykładał ją do oryginału.

Niektóre z wyników badań przeprowadzonych w 1978 r. były oczekiwane na podstawie wcześniejszych badań. Badania Całunu będą kontynuowane, ale dotąd nauka nie jest w stanie zaproponować metod dokładniejszych od zrealizowanych w czasie tamtych badań.

Do badania Całunu Turyńskiego zaprzęgnięto również numizmatykę. I to w kilku przypadkach.

Pierwszy dotyczy śladu po monetach położonych na powiekach Człowieka z Całunu. Ślad ten jest bardzo słaby, ale przy zastosowaniu komputerowej analizy obrazu udało się ustalić, że na oczach Człowieka z Całunu leżały dwie różne monety. Udało się zidentyfikować 70% szczegółów monety położonej na lewej powiece i monety bitej przez Poncjusza Piłata między 29 a 32 rokiem n.e. Więcej, moneta na powiece była fałszywa. Takie egzemplarze zachowały się w muzeach.

Drugie zastosowanie numizmatyki to porównanie wizerunku twarzy na Całunie z wizerunkiem Chrystusa na monecie bitej w VII wieku n.e., Szczegółowy opis tego badania i zastosowanej metody można znaleźć we wspomnianym już przeze mnie czasopiśmie *Applied Optics* z 1985 roku (str.766 w roczniku tego pisma) Nie

będę tu przytaczał tego opisu, powiem tylko, że zidentyfikowano 245 identycznych szczegółów wizerunku na monecie i twarzy Człowieka z Całunu.

W kryminologii uważa się, że jeśli dwa wizerunki mają 45 do 60 cech wspólnych, to mają one swój wspólny pierwowzór albo jeden jest kopią drugiego. W tym przypadku zgodność jest tak wielka, iż nie ulega wątpliwości, że wizerunek twarzy z Całunu był znany w VII wieku n.e.

To nie wszystko. Na monecie bitej w 869 r. n.e. twarz Chrystusa jest bardzo podobna do twarzy z Całunu. Tak, jak w całej średniowiecznej ikonografii, powtarzają się szczegóły: spuchnięty prawy policzek, uszy przykryte włosami, kosmyk włosów na czole w kształcie odwróconej trójki. Dodatkowo na tej monecie, przedstawiającej nie tylko twarz, ale i całą postać Chrystusa, zdeformowana jest lewa stopa. Jest to wynik błędnej interpretacji faktu, że lewa stopa na Całunie odbiła się nieco słabiej, i jest przez to jakby wykręcona w bok. To nierówne odbicie stóp spowodowało, że niektóre krzyże mają zaznaczoną ukośną podpórkę pod stopy.

Przeprowadzone po 1978 roku badania śladów krwi na płótnie przyniosły jeszcze jeden ciekawy wynik. Jest wiadome, że krew wypływająca z ciała człowieka żywego inaczej reaguje na kontakt z powietrzem niż krew człowieka zmarłego. Inaczej przebiega koagulacja krwi. Włoski hematolog prof. Bollonne badając pozostałości po koagulacji stwierdził, że ze wszystkich ran Człowieka z Całunu krew wypłynęła za jego życia, z wyjątkiem rany w boku, z której wypłynęła po śmierci. Badania serologiczne wykazały obecność na Całunie zarówno krwi tętniczej, jak i żylniej.

O badaniach Całunu Turyńskiego napisano wiele książek. Nie mam aspiracji, aby omówić tutaj wszystkie wyniki badań. Chciałbym jednak odnieść się do tak nagłośnionej w 1988 roku tzw. próby węglowej, która wykazała według badaczy, że Całun jest XIV-wiecznym falsyfikatem.

Na początku kilka słów na temat istoty próby węglowej. Składnikiem atmosfery ziemskiej jest, jak wiadomo, dwutlenek węgla.

W wyniku oddziaływania promieniowania kosmicznego z górnymi warstwami atmosfery, pewien stały procent atomów węgla stanowi jego radioaktywny izotop, tzw. węgiel ^{14}C . Różni się on od podstawowego izotopu węgla ^{12}C tym, że w jądrze atomowym ma o dwa neutrony więcej.

Asymilacja dwutlenku węgla przez rośliny powoduje, że każda żyjąca roślina zawiera pewien stały procent radioaktywnych atomów węgla. Po „śmierci” rośliny asymilacja ustaje. Radioaktywny izotop węgla powoli rozpada się. Charakterystycznym parametrem tego procesu jest tzw. okres połowicznego rozpadu, tzn. czas, po którym liczba atomów tego izotopu zmniejsza się dwukrotnie. Badając aktualną proporcję pomiędzy węglem radioaktywnym i zwykłym można ustalić, jak dawno temu rosły rośliny, z których – w tym przypadku – utkano tkaninę. Wynik próby jest wiarygodny, jeżeli poddana badaniu próbka nie jest zanieczyszczona, w szczególności nie zawiera obcej, „młodszej” substancji zanieczyszczającej.

Przed wykonaniem testu naukowcy ustalili 9 zasad, wg których zostanie przeprowadzona próba węglowa. Na przykład ustalono, że będzie to tzw. próba ślepa. Polegać miało to na tym, że każde z trzech laboratoriów otrzyma trzy ponumerowane próbki. Wśród nich miała być próbka tkaniny z I wieku, próbka tkaniny z XIV wieku i próbka Całunu. Dopiero po zbadaniu wieku każdej z próbek ujawnionoby, która próbka jest którą.

I na taką właśnie „ślepa” próbę nie zgodzili się naukowcy, którzy mieli ją przeprowadzić. Laboratoria w Oxfordzie, Zurychu i Arizonie zażądały, aby im dostarczyć opisane próbki. Po przeprowadzeniu próby (wymagało to spalenia skrawka płótna w każdym z laboratoriów) uzgodnili pomiędzy sobą wyniki i wydali orzeczenie, że płótno powstało pomiędzy 1260 a 1390 rokiem, a w związku z tym Całun jest średniowiecznym fałszyfikatem.

Najdziwniejsze było jednak zachowanie tychże uczonych po przeprowadzonej próbie. Kiedy zaproszono na konferencję badaczy Całunu, aby przedstawili wyniki swoich badań w formie

referatu – odmówili udziału. Jeden z nich powiedział, że nie będzie dyskutował z... nieukami! Inny stwierdził, że odtąd zwolenników autentyczności Całunu należy posadzić obok zwolenników teorii, że Ziemia jest płaska.

Co najmniej jeden czynnik zniekształcił wynik próby węglowej. Na włóknach Całunu stwierdzono w 1993 roku obecność tzw. bioplastyku, żywego grzyba, który rosnąc na powierzchni włókien wzbogaca je w jak najbardziej współczesną mieszaninę izotopów węgla. Naukowcy pierwszy raz zetknęli się z tym grzybkiem badając metodą węglową jedną z mumii egipskich. Okazało się, że bandaże, w które owinięto mumię są ok. 800 lat „młodsze” od samej mumii. Powtarzanie badań potwierdzało te wyniki. Dopiero wtedy zainteresowano się włóknami – i znaleziono ów bioplastyk – jest to grzyb *Lichenotela*, który odkłada się na powierzchniach warstwą ciągłą złożoną z wapnia, kaolinu, manganu, żelaza i krzemu. Powłokę z tego grzyba znaleziono na włóknach Całunu.

Oczywiście ci, którzy przeprowadzali próbę węglową od razu wyśmiali wpływ materiału bioplastycznego na próbę węglową, a jeden z nich natychmiast wyliczył, że zanieczyszczenie tym materiałem musiałoby sięgać 60%, aby wynik próby był taki, jaki wyszedł. I tu nastąpiła niespodzianka. Otóż badacze, którzy znaleźli bioplastyk to... potwierdzili! W niektórych miejscach na Całunie zanieczyszczenia sięgają 60%. Miejsce, z którego pobrano próbki do testu węglowego okazało się być źle wybrane. Było to miejsce na jego obrzeżu, za które trzymano Całun w trakcie jego wielu pokazów w historii (zostało to utrwalone na obrazach). Nawet, gdyby trzymający miał ręce dokładnie umyte, po kilku minutach wydzielina skóry dłoni już osadzała się na płótnie. Ta okoliczność na pewno miała wpływ na wynik próby węglowej.

Nową serię badań przeprowadzono w 2002 roku. Jako jeden z pierwszych ukazał się artykuł w „Journal of Optics”, w dniu 13 kwietnia 2004 roku nosi tytuł: „The double superficiality of the frontal image of the Turin Shroud” I został napisany przez Giulio Fanti i Roberto Maggiolo z Uniwersytetu w Padwie.

Autorzy dokładnie zeskanowali powierzchnię Całunu przeciwnie do tej, na której istnieje wizerunek Ciała. Te dane poddali analizie komputerowej wyodrębniając (poprzez zastosowanie transformaty Fouriera) elementy obrazu tej drugiej strony w postaci smug ciągnących się przez całą długość płótna oraz kilkanaście dokładnie określonych zniekształceń punktowych. Po tej obróbce zniekształcenia zostały elektronicznie „odjęte” od obrazu drugiej strony. I wtedy ukazało się na niej odbicie Postaci z Całunu – dokładnie w tym samym miejscu, co odbicie widzialne gołym okiem.

Wizerunek na odwrotnej stronie płótna jest dwa razy słabszy od smug występujących na płótnie, mówiąc językiem technicznym, stosunek sygnału do szumu wynosi 0,5. Ale ten wizerunek istnieje, da się go zauważyć, zaobserwować, porównać z wizerunkiem na stronie przylegającej do Ciała. I najistotniejszy szczegół: wizerunku NIE MA pomiędzy powierzchniami płótna!

Jeden ze specjalistów fotografików skomentował te fakty bardzo jednoznacznie: „Istnienie wizerunku po przeciwności w stosunku do Ciała powierzchni płótna odsuwa możliwość sfałszowania wizerunku na Całunie poza granice racjonalności”.

W międzynarodowym periodyku „Thermochimica acta” (vol. 425 issues 1-2) z dnia 20 stycznia 2005 roku opublikowany został artykuł Raymonda Rogersa „Badania próbek Całunu Turyńskiego poddanych testowi na węgiel C14” (Studies on the radiocarbon sample of the Shroud of Turin). Artykuł został przesłany do redakcji 14 kwietnia 2004 roku.

Raymond N. Rogers był emerytowanym pracownikiem Los Alamos National Laboratory na University of California (zmarł 8 marca 2005 roku). W 1978 roku był szefem zespołu chemików w STURP – Shroud of Turin Research Project.

Dla wyjaśnienia: w 1988 roku z płótna Całunu wycięto jeden kawałek tkaniny (ok. 7 cm na ok. 10 cm), który następnie przecięto

na pół. Jedną połowę podzielono na 3 mniejsze części i przesłano do laboratoriów w celu ustalenia wieku płótna metodą węglową. Drugą połowę próbki zachowano, i ona właśnie była przedmiotem badań Rogersa.

Konkluzja artykułu omawiającego wyniki tych badań brzmi następująco:

„Próbka użyta do testu węglowego w 1988 roku została pobrana z obszaru Całunu poddanego intensywnej naprawie (ang. *rewoven* – dosł.: powtórnie utkanego). Badania pyrolitycznym spektrometrem masowym oraz obserwacja mikroskopowa i badania mikrochemiczne wykazały, że próbka poddana testowi węglowemu nie była częścią oryginalnego płótna Całunu. Wynik próby węglowej nie określił zatem prawdziwego wieku Całunu Turyńskiego”.

Na konferencji prasowej po opublikowaniu artykułu Raymond Rogers stwierdził: „Próbka poddana próbie węglowej ma zupełnie inne własności chemiczne niż główne płótno (main body) Całunu. Testowana próbka była pomalowana przy zastosowaniu techniki, która pojawiła się we Włoszech mniej więcej wtedy, gdy ostatni bastion z czasów Wypraw Krzyżowych został zdobyty przez Turków (w 1291 roku). Próbka poddana testowi węglowemu nie mogła powstać wcześniej, niż około roku 1290, co jest zgodne z określeniem jej wieku przez próbę węglową. Jednakże Całun jako taki jest znacznie starszy.”

Do określenia wieku próbki Rogers wykorzystał powszechnie występujący w przyrodzie związek chemiczny, wanilinę. Występuje on nie tylko w roślinie – wanilii (*Vanilla Planifolia*), ale także w każdej innej roślinie. W każdej bowiem roślinie występuje substancja zwana ligniną. Lignina jest skomplikowanym związkiem chemicznym odgrywającym rolę kleju pomiędzy poszczególnymi komórkami i włóknami celulozowymi.

W naturze wanilina powstaje poprzez termiczną dekompozycję ligniny. Jednak jej ilość zmniejsza się w czasie i wanilina zanika. Proces zaniku opisuje równanie różniczkowe Arrheniusa. W rów-

naniu tym występuje jako istotny parametr – temperatura przechowywania płótna.

W próbce poddanej próbie węglowej znajduje się około 37% początkowej wartości waniliny we włóknach. Tyle waniliny występuje w tkaninach z XIV wieku. Ale główne płótno Całunu zawiera znacznie mniej waniliny, tylko 5% początkowej wartości. Taka ilość waniliny znajduje się w innych tkaninach z I wieku, np. tej, która okrywała zwoje znad Morza Martwego.

Dodatkowo, nici z próbki „węglowej” zabarwione są barwnikiem – wyciągiem z korzenia marzanny. Miało to upodobnić nowe nici do starszych, aby „załatanie” nie było widoczne gołym okiem. To, czego gołym okiem dostrzec się nie udaje, ujawnia się jednak pod oświetleniem ultrafioletowym. „Inność” tego obszaru, skąd pobrano próbkę, stwierdzili już uczeni wykonujący badania w 1978 roku w ramach STURP. Niestety, zespół ten został całkowicie odsunięty od wpływu na przeprowadzenie testu węglowego 10 lat później.

Wiek tkaniny wynikający z ilości waniliny zależy od tego, w jakiej temperaturze była przechowywana. Jeżeli była to temperatura 25 stopni Celsjusza, to tkanina ma ok. 1360 lat, Jeżeli 23 stopnie – ok. 1860 lat, jeżeli natomiast przechowywano płótno w temperaturze 20 stopni, to należy przyjąć, że tkaninę utkano około 3 000 lat temu. Przyjmując nawet skrajne warunki przechowywania i wszelkie dopuszczalne błędy analizy, w żadnej sytuacji nie jest możliwa utrata 95% waniliny w ciągu ok. 740 lat, a na taki wiek płótna wskazywała próba węglowa.

W artykule Raymonda Rogersa znajduje się bardzo dokładna analiza wszystkich różnic pomiędzy próbką poddaną testowi węglowemu a płótnem całunu, m.in. wyjaśniono przyczynę 20-krotnie większej koncentracji atomów aluminium odkrytej przez Adlera, Selzera i DeBlase’a w 2002 roku.

Należy bardzo mocno podkreślić, że wynik badania Raymonda Rogersa nie podważa stosowania metody węglowej do określenia wieku próbek organicznych. Można powiedzieć, że wręcz przeciw-

nie, próba węglowa została wykonana bardzo dokładnie, bardzo dokładnie określono wiek badanej próbki. Wynik tego badania nazywano jednak błędnie, jako określenie wieku Całunu Turyńskiego. Na ten błąd złożyło się kilka czynników, z których najpoważniejszym wydaje się fakt, że nie dotrzymano żadnego z dziewięciu wcześniejszych ustaleń dotyczących trybu przeprowadzenia tego badania. Przed przystąpieniem do badania ustalono na przykład, że konieczne jest pobranie próbek z trzech różnych miejsc na Płótnie. Każda z tych próbek miała być testowana w innym laboratorium. Przeprowadzona próba nie była „próbą ślepą”. Ani wymienionych tu ustaleń, ani pozostałych siedmiu – nie dotrzymano.

Jako ciekawostkę można uznać fakt, że „inność” miejsca skąd pobrano próbkę została zauważona wcześniej przez M. Sue Benford oraz Josepha Marino. Swoje wątpliwości przedstawiali w kilku referatach na konferencjach poświęconym badaniom Całunu. Kiedy Raymond Rogers pierwszy raz usłyszał o ich publikacjach, określił to jako nonsens i stwierdził, że „potrzebuje pięciu minut aby obalić ich tezy”. Okazało się to nie tylko nie tak łatwe, okazało się to wręcz niemożliwe. Właściwie to artykuły Benford oraz Marino zainspirowały Rogersa do bardziej wnikliwej analizy problemu. Wynikiem tej analizy jest omawiany artykuł, potwierdzający wcześniejsze odkrycie. Jest to klasyczny przykład procesu autokorekty, charakterystycznej cechy nauki.

Opublikowanie przez Raymonda Rogera artykułu zmieniło stosunek naukowców do problemu autentyczności Płótna. Zaszło nieco dziwne zjawisko: opinie zwolenników i przeciwników autentyczności brzmią dziś identycznie i obie stwierdzają, że Całun pochodzi z I wieku naszej ery. Przeciwnicy autentyczności zaznaczają jednak, że nie ma dowodu na to, że to Płótno okrywało ciało Jezusa z Nazaretu. A akurat ten szczegół jest zwolennikom autentyczności dobrze i od dawna znany.

W grudniu 2011 roku opublikowano wyniki eksperymentów przeprowadzanych przez 5 lat przez włoski Ośrodek Nowych Technologii, Energii i Zrównoważonego Rozwoju ENEA w miejscowości

Frascati pod Rzymem. Doświadczenie polegało na próbie stworzenia za pomocą promieniowania ultrafioletowego wizerunku podobnego do odcisniętego na przechowywanej w katedrze w Turynie tkaninie, w którą zgodnie z tradycją owinięte było ciało Chrystusa po ukrzyżowaniu. Celem naukowców było zgłębienie najważniejszej kwestii dotyczącej Całunu Turyńskiego, to znaczy tego, jak powstał wizerunek przywołujący według wiernych Mękę Chrystusa i stonowiący dla wszystkich „wyzwanie dla inteligencji”, jak określił to Jan Paweł II, stojąc przed płótnem w maju 1998 roku.

Próby stworzenia reprodukcji wizerunku Chrystusa wykazały, że do takiego eksperymentu na całej powierzchni płótna o rozmiarach 4,36 na 1,10 metra należałoby użyć mocy 34 miliardów watów (34 GW). Wg opinii naukowców, „to moc, która uniemożliwia odтворzenie całego wizerunku z Całunu przy użyciu tylko jednego lasera, gdyż nie wytwarza jej żadne źródło światła VUV (promieniowanie ultrafioletowe tzw. próżniowe)”.

Warto zauważyć przy okazji, że w przeciwieństwie do innych „sensacyjnych” teorii przedstawionych w ostatnich latach, badacze z ośrodka Enea przedstawili swoje wnioski z niezwykłą ostrożnością.

Znalazło to uznanie ze strony przewodniczącego komisji archidiecezji turyńskiej ds. Całunu księdza Giuseppe Ghibertiego, który taką postawę naukowców uznał za „rzadkość” i wyraził przekonanie, że wiadomości o tych rezultatach dodają „powagi”. W badaniach naukowych nad płótnem należy unikać „instrumentalnego wykorzystywania”. Muszą one „szanować wielkie znaczenie religijne i kościelne, jakie Całun ma dla ludu chrześcijańskiego i dla wszystkich, także niewierzących, którzy w tym Obliczu widzą tajemnicze świadectwo miłości bez końca” – podsumowało „L’Osservatore Romano”.

Materiały z tych badań zostały opublikowane w raporcie ENEA – włoskiego Ośrodka Nowych Technologii, Energii i Zrównoważonego Rozwoju. Dwudziestostronicowy raport z listopada 2011 r.

zatytułowany jest „Całunopodobne (*simil-sindonica*) zabarwienie tkaniny lnianej przez promieniowanie z zakresu dalekiego ultrafioletu. Podsumowanie wyników otrzymanych w ENEA we Frascati w latach 2005-10”.

W wyniku naświetlania uzyskano na płótnie barwne (żółte, żółtobrazowe) ślady, przy czym okazuje się, że powstają one tylko przy odpowiedniej dawce promieniowania – zbyt mała ilość światła nie daje wyraźnego efektu, a zbyt duża prowadzi do zniszczenia materiału. Pewne własności otrzymanych śladów – m.in. kolor, wygląd włókien pod mikroskopem polaryzacyjnym – są podobne do zabarwionych obszarów z Całunu, podczas gdy inne, w szczególności głębokość zabarwienia, nie odpowiadają próbkom z turyńskiego wizerunku. Ta ostatnia cecha obrazu Człowieka z Całunu jest zresztą nadal bardzo zagadkowa – włókna lnu zabarwione są jedynie w bardzo płytkiej, powierzchniowej warstwie. Nadal pozostaje bez odpowiedzi pytanie, jak powstał wizerunek na płótnie?

Sformułowano kilkanaście różnych hipotez (ok. 16) dotyczących różnorakiego rodzaju oddziaływań: fizycznych, chemicznych i innych na płótno lniane. Przeprowadzono dziesiątki eksperymentów i żaden z nich nie dał w wyniku obrazu takiego, jak na Całunie, choć czasem uzyskiwano niewyraźny zarys postaci.

Odrzucono niemal wszystkie hipotezy. Pozostała tylko jedna, nieweryfikowalna. Zakłada ona, że nastąpiło gwałtowne wyładowanie olbrzymiej ilości energii wewnątrz Ciała spoczywającego w Płótnie. W ciągu ok. 1 ms promieniowanie wydzielane przez Ciało „przypaliło” płótno tym mocniej, im było ono bliżej ciała. Tak powstał negatyw wizerunku. Następnie Ciało wyekspłodowało poprzez płótno. Bowiem nie ma śladu jego wyjmowania z Płótna.

W wydanej w 2002 roku w USA książce „The resurrection of the Shroud” (Zmartwychwstanie Całunu) jeden z badaczy Płótna, Mark Antonacci wysunął nową hipotezę co do zjawiska, które utrwaliło wizerunek Ciała. Powołując się na artykuł Alberta Einsteina z 1935 roku zasugerował, że w momencie Zmartwychwstania mia-

ło miejsce przejście czasoprzestrzenne, przewidziane w tamtej publikacji.

Najbliższe lata przyniosą odniesienie się świata nauki do tej hipotezy. Nie można jej sprawdzić eksperymentalnie, ale na jej podstawie można wyciągnąć wnioski co do innych skutków tego zjawiska i poszukiwać tych śladów. Zapowiada się bardzo interesująca procedura.

Moim zamiarem było przedstawienie Państwu Całunu w świetle badań naukowych. Wobec przytoczonej powyżej hipotezy (dotyczących powstania wizerunku), wyników badań dotyczących zniknięcia Ciała z płótna, a także jeszcze jednej właściwości wizerunku – nauka musi skapitulować. Wyjaśnię więc jeszcze tylko, że wizerunek Ciała ma takie cechy, jakby w momencie jego utrwalenia Ciała było nieważkie. W normalnej sytuacji, 80-kilogramowe ciało spoczywające na półce skalnej, musi się przecież na czymś opierać. W obrębie pośladków i łopatek powinny występować strefy o jednakowym nasyceniu wizerunku, gdyż tam mięśnie się ugiwały i ciało przylegało do płótna na pewnej powierzchni – w stałej odległości. Takich miejsc nie znaleziono. Wizerunek jest doskonale plastyczny, bez najmniejszych, nawet tych naturalnych, zniekształceń.

Na zakończenie chciałbym do tego wszystkiego, co napisałem, dodać jeszcze kilka zdań, ale tym razem już w zupełnie innym charakterze – jako mój zupełnie prywatny komentarz do tego, co wiem o Całunie Turyńskim.

Odbicie postaci Zbawiciela czekało blisko dwa tysiące lat, aby ujawnić się światu. Współczesny świat – świat, w którym człowiek wylądował na Księżycu, a technika dyfuzji satelitarnej umożliwia natychmiastowe obejrzenie tego, co dzieje się na Antypodach, tenże współczesny świat, oszołomiony postępem techniki, oszołomiony – wydawać by się mogło – niczym nie ograniczonymi możliwościami umysłu ludzkiego wydaje się mówić słowami Tomasza Dydymusa: Jeżeli nie ujrzę w Jego rękach śladu gwoździ

i nie włożę palca mojego w miejsce gwoździ, a ręki mojej w bok Jego – nie uwierzę.

I właśnie dziś, w czasach zachwiania wiary, w czasach, kiedy to – o zgrozo – nawet niektórzy teologowie nauczający w imieniu Kościoła poddają w wątpliwość prawdę o Zmartwychwstaniu, ta Postać utrwalaona na Całunie mówi całemu światu:

Weź palec swój i włoż go w rękę Moją
I wyciągnij dłoń swoją i włoż ją w bok Mój
I nie bądź niewierny, ale wierny.

Na uwagę zasługuje strona internetowa redagowana od 10 lat przez osobę pochodzenia żydowskiego. Jest nim Barri Schworz. Adres jego strony: www.shroud.com.

Poszukując takich stron, do dowolnej wyszukiwarki w jęz. angielskim należy wprowadzić hasło: shroud, lub „Shroud of Turin”.

Specyfika Powstania Warszawskiego na tle europejskich powstań 1944 r.

W historiografii akcji „Burza” i Powstania Warszawskiego, moim zdaniem, panuje swoistego rodzaju „polonocentryzm” i tendencja „ku pokrzepieniu serc”. Żaden ośrodek naukowy nie prowadzi rzetelnych badań naukowych nad specyfiką Polskiego Państwa Podziemnego i Powstania Warszawskiego na tle europejskiego ruchu oporu i powstań 1944 r. Pomocne w tych badaniach mogą być m.in. studia Janusza Kazimierza Zawodnego *Powstanie w walce i dyplomacji* (Warszawa 1994) oraz szkice Eugeniusza Duraczyńskiego i Jerzego Janusza Tereja *Europa podziemna 1939-1945* (Warszawa 1974), napisane w duchu afirmacji tzw. nurtu antyfaszystowskiego ruchu oporu.

Z punktu widzenia zakresu i efektywności działań szczególną uwagę warto zwrócić na jugosłowiański, grecki i francuski ruch oporu, powstania słowackie, bukaresztańskie i sofijskie.

17 kwietnia 1941 roku Jugosławia podpisała bezwarunkową kapitulację. Król wraz z rządem gen. Dusana Simovicia udał się na emigrację do Londynu, gdzie utrzymywał serdeczne stosunki z Rządem RP na uchodźstwie gen. Władysława Sikorskiego i Stanisława Mikołajczyka. Jugosławia była okupowana przez wojska niemieckie, włoskie i węgierskie biorące udział w kwietniowej agresji. Wkrótce powstało tzw. Niezależne Państwo Chorwackie, które dokonywało antyserbskich czystek etnicznych. W Serbii został powołany kolaborancki rząd gen. Milana Nedicia. W południowej Słowenii istotne wpływy miała kolaborancka ekipa pro włoska Marco Natlaca. Wszystkie reżimy kolaboranckie zaostrzyły konflikty

etniczne na terenach okupowanej Jugosławii. Komuniści potrafili przeciwstawić im zasadę pokojowego współżycia różnych grup etnicznych gotowych zaakceptować ich politykę i program walki z okupantem i rodzimymi faszystami. W Serbii powstał prozachodni ruch oporu kierowany przez gen. Dragoljuba „Drażę” Mihailovicia, który był eksponentem króla i rządu emigracyjnego. W styczniu 1942 roku oddziały Mihailovicia przyjęły nazwę Jugosłowiańskiej Armii Krajowej. Początkowo, po rozmowach 19 września 1942 roku Tity z Mihailoviciem, komuniści byli gotowi do współpracy ze wspomnianą armią. Doszło jednak między obu ugrupowaniami do zbrojnych konfliktów. 20 listopada tegoż roku obie strony podpisały kolejną umowę – wkrótce zerwaną. W tym czasie liczba wojsk okupacyjnych przekroczyła 450 000, które koncentrowały swój wysiłek na dławieniu powstania tzw. Republiki Užickiej. W czasie działań antypowstańczych Niemcy dopuścili się zbrodni ludobójstwa, mordując m.in. 7000 mieszkańców Kragujevca i 2000 mieszkańców Krallieva. Wkrótce powstanie objęło wschodnią Bośnię i Hercegowinę. Sowiecki wywiad i dyplomacja robiły wszystko, by nie dopuścić do stworzenia szerokiego frontu narodowego w ramach jugosłowiańskiego ruchu oporu i przeciwstawić Titę Mihailoviciowi. Z ich inspiracji powstała Rada Wyzwolenia Narodowego Jugosławii jako przedstawicielstwo polityczne ruchu oporu kierowanego przez komunistów, podobna do Krajowej Rady Narodowej w Polsce, ale o znacznie szerszym zapleczu politycznym. Zwalczała ona „reakcyjny rząd” na emigracji londyńskiej. W połowie 1944 roku oddziały partyzanckie kontrolowane przez komunistów liczyły 350 000 żołnierzy, a pod koniec roku około 500 000. Partyzanci byli zorganizowani w dywizjonach, samodzielnych brygadach i oddziałach partyzanckich. W styczniu 1945 roku przekształcono wspomniane jednostki wojskowe w cztery armie Ludowej Jugosławii. Początkowo brytyjska misja wojskowa od jesieni 1941 roku działała przy sztabie gen. Mihailovicia. W kwietniu nastąpiła reorientacja: druga misja została skierowana do partyzantki Tity, który korzystał z uprzywilejowanych dostaw anglosaskich oraz specjalnych baz

i szpitali alianckich we Włoszech. Pod wpływem Churchilla Tito zgodził się na przejściowe zawieszenie walk z oddziałami prozachodniej partyzantki. Główną pomoc otrzymał od Stalina, który we wrześniu 1944 roku obdarzył go Orderem Suworowa oraz bronią i sprzętem dla dwunastu dywizji piechoty i dwóch dywizji lotniczych. Pozycja Tity, ze względu na siłę podporządkowanych mu oddziałów partyzanckich, znaczna zarówno w rozmowach ze Stalinem jak i aliantami anglosaskimi. Szacuje się, że oddziały tzw. ludowej partyzantki jugosłowiańskiej wyeliminowały z walki 400 000 żołnierzy wroga, tracąc własnych ponad 300 000 własnych żołnierzy i partyzantów. Ofiarą terroru niemieckiego i włoskiego padło około 1 300 000 mieszkańców Jugosławii. Polacy, którzy mieli własne Polskie Państwo Podziemne, liczącą 350 000 członków Armię Krajową, tracąc blisko 6 000 000 ofiar niemieckiego terroru, cieszyli się i cieszą wśród narodów byłej Jugosławii szczególną estymą, zwłaszcza po Powstaniu Warszawskim.

Szczególnie silną pozycję zdobyli komuniści w greckim ruchu oporu. Grecja została napadnięta 28 października 1940 roku przez wojska włoskie. Liczącą 430 000 żołnierzy Armia Grecka dowodzona przez gen. Aleksandrosa Papagosa, korzystając z pomocy Brytyjczyków, stawiała agresorom skuteczny opór. Do końca marca 1941 roku znalazło się w Grecji 31 000 żołnierzy brytyjskich entuzjastycznie witanych przez Greków.

6 kwietnia 1941 roku Grecja została zaatakowana przez wojska III Rzeszy.

Wkrótce grecki ruch oporu miał dwie silne organizacje polityczno-wojskowe: Front Wyzwolenia Narodowego kontrolowany przez komunistów i Grecki Narodowy Związek Demokratyczny przypominający programowo Polskie Państwo Podziemne. W komunistycznej Greckiej Armii Wyzwoleńczej (ELAS) służyło pod koniec 1943 roku blisko 70 000 ludzi. W tym czasie oddziały partyzanckie ELAS kontrolowały ponad 50% terytorium Grecji. Pozostała część kraju była kontrolowana przez partyzantów Greckiego Narodowego Związku Demokratycznego (EDES) lojalnych

wobec króla Jerzego II oraz przez kolaborantów Joanisa Rallisa. Walki bratobójcze między greckimi ugrupowaniami ruchu oporu, mimo konferencji okrągłego stołu 12 i 19 lutego 1944 roku nie zostały przerwane.

Grecki ruch oporu związał swymi działaniami dziesięć dywizji niemieckich, trzynaście włoskich i trzy bułgarskie. We wrześniu liczba żołnierzy ELAS przekroczyła 120 000. Po powrocie do kraju rządu emigracyjnego w październiku 1944 roku i częściowej demobilizacji oddziałów ELAS, doszło w Grecji do kilkuletniej wojny domowej z udziałem ekspedycyjnych wojsk brytyjskich występujących przeciwko ELAS korzystającej ze znacznej pomocy sowieckiej i kontrolowanych przez Sowietów krajów bałkańskich, szczególnie Jugosławii, Albanii i Bułgarii.

Szeroki zakres miało też powstanie słowackie. Tutaj w początkowej fazie ruchu oporu przeciwko satelickiemu państwu słowackiemu dominowali komuniści mający konkurencję w partii agrariuszy Jana Lichnera, który opowiadał się za jednością państwową Słowaków i Czechów. Wiosną 1940 roku po fali aresztowań, Lichner przedostał się na Zachód i wszedł do rządu emigracyjnego Saramka.

Istotną rolę w przygotowaniu powstania słowackiego odegrali oficerowie byłej armii czechosłowackiej, którzy utworzyli na Słowacji Obronę Narodową kierowaną w Bratysławie przez mjr. J. Drimala.

Masowe aresztowania dziesiątkowały szeregi słowackiego ruchu oporu. Wpływ na zdynamizowanie ruchu miało podpisanie przez Beneša 12 grudnia 1943 roku w Moskwie układu o przyjaźni, pomocy wzajemnej i współpracy. Sprawa powojennych losów Słowacji pozostała sprawą otwartą w moskiewskich rozmowach Beneša z Klementem Gottwaldem – przywódcą Komunistycznej Partii Czechosłowacji. Od 23 czerwca 1941 roku armia słowacka brała udział w agresji na ZSRR po stronie III Rzeszy. Po klęskach 1943 roku zapanowały w niej nastroje frustracji, masowe dezercje i sabotaże. Niektóre jednostki tej armii zostały wysłane na front włoski. Wielu jej żołnierzy przyłączyło się do partyzantki włoskiej.

Jesienią 1943 roku z inicjatywy komunistów powstała Słowacka Rada Narodowa z udziałem socjaldemokratów i agrariuszy. Kluczową sprawą dla Rady było zdobycie poparcia dla idei powstania narodowego korpusu oficerskiego ludackiej armii liczącej 90 000 żołnierzy. Na dowódcę powstania sygnowała ona ppłk. Jana Goliana. W czerwcu 1944 roku powołano radę wojenną z udziałem polityków i wojskowych, która energicznie przygotowywała wybuch powstania na Słowacji. Specjalna delegacja Rady, wysłana do Moskwy w sierpniu 1944 roku uzgadniała współpracę powstańców z działaniami Armii Czerwonej na froncie karpackim. Już w końcu miesiąca ożywione walki partyzanckie przekształciły się w powstanie, którego „stolicą” została Bańska Bystrzyca. Powstanie objęło trzy czwarte terytorium kraju. 1 września Słowacka Rada Narodowa ogłosiła przejęcie władzy. Trzy dni później na prośbę ks. Tiso wkroczyły na Słowację wojska niemieckie, by zdusić powstanie. Rozbroiły one przede wszystkim dwie dywizje wschodnio-słowackie i objęły kontrolę nad przełęczami karpackimi, co zdecydowało o losach powstania. Wkrótce dowódcą sił zbrojnych słowackiego powstania został przybyły z Londynu na początku października 1944 roku (via Związek Sowiecki) gen Rudolf Viesta. Siły powstańcze liczyły wówczas około 70 000 żołnierzy, w tym ok. 15 000 partyzantów. Były one dobrze uzbrojone między innymi dzięki dostawom sowieckim. Gdy Armia Czerwona po miesięcznych walkach osiągnęła sukces w operacji karpacko – dukielskiej na początku października 1944r., powstanie słowackie chyliło się ku upadkowi. 27 października padła Bańska Bystrzyca. Obaj dowódcy powstania, Golian i Viesta, dostali się do niewoli niemieckiej. Część żołnierzy i partyzantów kontynuowała walkę do stycznia 1945 roku, to jest, do nadejścia oddziałów sowieckich.

W wyniku działań powstańczych Niemcy stracili ponad 50 000 żołnierzy. Reżim ludacki uległ rozkładowi.

Powstanie słowackie zdynamizowało czeski ruch oporu. Od 4 kwietnia 1945 roku zaczął działać w Koszycach nowy rząd czechosłowacki z prokomunistycznym socjaldemokratą Zdenkiem

Fierlingierem na czele. W programie tego rządu z 5 kwietnia uznawano odrębność narodową Słowaków, Republika Czechosłowacka miała być republiką dwóch równoprawnych narodów. 5 maja 1945 roku Czeska Rada Narodowa, korzystając z pomocy oddziałów gen. Własowa, zdecydowała o wybuchu powstania praskiego trwającego do 8 maja. Nazajutrz do Pragi wkroczyły wojska sowieckie i oddziały 2 Armii Wojska Polskiego pod dowództwem gen. Karola Świerczewskiego.

Powstanie słowackie było jednym z największych powstań europejskich w 1944 roku. Rząd sowiecki kontrolował jego przebieg pilnując, by nie było zdominowane przez oficerów prozachodnich, gotowych do współpracy z Benešem.

Podobny charakter jak powstanie słowackie, miało powstanie bukaresztańskie. Armia rumuńska licząca trzynaście dywizji i dziewięć samodzielnych brygad od 1 lipca 1941 roku walczyła na froncie wschodnim po stronie III Rzeszy. Za niemieckim przyzwoleniem Rumunia, w atmosferze euforii nacjonalistycznej, objęła w posiadanie Besarabię i północną Bukowinę. Na byłym terytorium sowieckim, między Dniestrem a Bohem, ogłoszono rumuńską prowincję Transinistrę, z centrum w Odessie. Reżim marszałka Antonescu miał wówczas poparcie większości partii opozycyjnych z wyjątkiem komunistów. Wkrótce, po wielu porażkach na froncie wschodnim, rosła opozycja w korpusie generalsko-oficerskim, szczególnie po klęsce wojsk rumuńskich pod Stalingradem. Sam król Michał zaczął dostrzegać perspektywę klęski III Rzeszy. W czerwcu 1943 roku powstał koalicyjny Polityczny Front Antyfaszystowski. W fabrykach zbrojeniowych zaczęły działać grupy sabotażowe. W związku ze zbliżeniem się frontu Rumunii w kwietniu 1944 roku powstał Zjednoczony Front Robotniczy skupiający socjaldemokratów i komunistów. Wybitni intelektualiści rumuńscy domagali się w tym czasie od Antonescu natychmiastowego zaprzestania działań wojennych. 20 czerwca powstała szeroka koalicja polityczna – Blok Narodowo-Demokratyczny. Ludzie króla aresztowali Antonescu i wezwali garnizon Bukaresztu do opanowania

gmachów rządowych. 23 sierpnia 1944 roku w apelu radiowym król wezwał naród do poparcia gabinetu gen. Constantina Sănătescu i opuścił, za radą komunistów, Bukareszt. Następnego dnia Rumunia stanęła po stronie koalicji antyhitlerowskiej. Jej wojska w walce z oddziałami niemieckimi odniosły znaczny sukces. 30 sierpnia do Bukaresztu wkroczyły wojska sowieckie. Wojska rumuńskie brały aktywny udział w wyzwoleniu Transylwanii, części terytorium Węgier i Czechosłowacji. Wzięli do niewoli ponad 100 000 jeńców niemieckich. 12 września Rumunia przyjęła drakońskie warunki rozejmu podyktowane przez rząd sowiecki. ZSRR odzyskał granicę z 1940 roku, narzucił Rumunii znaczne odszkodowania wojenne i zgodę na sowiecką kontrolę rumuńskiego przemysłu naftowego oraz systemu transportowego. W kraju niewielka partia komunistyczna pod boki oddziałów sowieckich rozpoczęła walkę o obalenie monarchii i przejęcie totalnej władzy.

W przeciwieństwie do Rumunii w latach 1939 -1941 Bułgaria starała się utrzymać poprawne stosunki ze Związkiem Sowieckim. 1 marca 1941 roku przystąpiła do Paktu Trzech, godząc się na przyjęcie na swym terytorium niemieckiej 12 Armii dowodzonej przez feldmarszałka Wilhelma Lista, która wkrótce zaatakowała sąsiednią Jugosławię i Grecję. Wspomagając agresję niemiecką na te kraje, wojska bułgarskie okupowały jugosłowiańską Macedonię, część Serbii oraz grecką Macedonię i Trację. Z okupowanych terenów ponad 11 000 Żydów wywieziono do Auschwitz i Treblinka.

Komuniści inspirowali powstanie koalicyjnego Frontu Ojczyźnianego i jego zbrojnego organu – Narodowo-Wyzwoleńczej Powstańczej Armii. 14 sierpnia 1943 roku zmarł po rozmowach z Hitlerem car Borys III. Formalnym następcą tronu został sześćioletni car Symeon. Władzę przejęła trzyosobowa Rada Regencyjna.

Na przełomie 1943/1944 oddziały partyzanckie dokonały 436 akcji sabotażowych i bojowych.

26 sierpnia rząd Bagrianowa ogłosił wycofanie się Bułgarii z wojny i prowadzenie polityki neutralności. Po krytyce sowieckiej aktu neutralności powstał 2 września 1944 roku nowy rząd koali-

cyjny Konstantina Murawijewa. Komuniści, z inspiracji Kremla wzywali w tym czasie do powszechnego powstania. 8 września Armia Czerwona wkroczyła na terytorium Bułgarii, która tego dnia oficjalnie wypowiedziała wojnę III Rzeszy. W nocy z 8 na 9 września wybuchło w Sofii powstanie zbrojne. Oddziały armii bułgarskiej pod dowództwem generałów Welczewa i Stanczewa opanowały centralne urzędy i instytucje rządowe. Nowym premierem rządu Frontu Ojczyźnianego został Kimon Georgiew. W całym kraju przejmowały władzę komitety terenowe Frontu Ojczyźnianego. Powołano nową Radę Regencyjną.

Grupa Aleksandra Cankowa i wyższych oficerów nie godząca się z dyktatem ZSRR i rodzimych komunistów opuściła kraj wraz z armią niemiecką i ogłosiła w Wiedniu utworzenie wolnego rządu narodowego Bułgarii.

Tymczasem w łonie Frontu Ojczyźnianego rozgorzała walka przeciw stopniowej sowietyzacji kraju popieranej przez komunistów.

Francuski ruch oporu i jego powstanie paryskie miał charakter specyficzny. Aktywność tego ruchu wzmogła się wobec planowanego lądowania aliantów we Francji. 3 czerwca 1944 roku Francuski Komitet Wyzwolenia Narodowego przekształcił się w koalicyjny Tymczasowy Rząd Republiki Francuskiej z gen. de Gaulle'em na czele. Dwie teki otrzymali w nim komuniści.

Francuskie Siły Wewnętrzne, zdaniem gen. Eisenhowera, przez szeroki zakres działań dywersyjnych szczególnie na liniach kolejowych ułatwił wyeliminowanie z walki piętnastu dywizji niemieckich, które w sierpniu 1944 liczyły ponad 60 000 ludzi. Powstanie narodowe przez nie wywołane objęło 40 departamentów. Centrale głównych nurtów francuskiego ruchu oporu znajdowały się w Paryżu. Tutaj, 10 sierpnia zastrajkowali kolejarze, a następnie policjanci. W łonie ruchu powstał spór dotyczący celowości wywołania powstania zbrojnego w Paryżu, do którego zmierzali przede wszystkim komuniści chcący aktywnie kształtować powojenne losy stolicy i całego kraju. Ostatecznie Paryski Komitet Wyzwolenia Narodowego wezwał ludność stolicy do powstania. 21 i 22 sierpnia

na ulicach Paryża pojawiły się barykady. 25 grup powstańczych pod dowództwem płk. Fabiana zaatakowało plac Luksemburski. 24 sierpnia wkroczyły do miasta pierwsze oddziały 2 Dywizji Pancernej gen. Leclerca. Następnego dnia niemiecki dowódca Paryża, gen. Dietrich von Choltitz skapitulował. Tegoż samego dnia ludność Paryża entuzjastycznie witała gen. de Gaulle'a.

Niniejszy przegląd niektórych powstań europejskich 1944 roku pozwala przedstawić specyfikę Powstania Warszawskiego. Nasze powstanie było najbardziej osamotnione. Miało wyraźny charakter antyniemieckiego i jednocześnie antysowieckiego. Alianci zachodni widzieli w nim przeszkodę w maksymalizacji udziału Armii Czerwonej na froncie europejskim, a w przyszłości także na froncie japońskim. Wcześniej, na konferencji teherańskiej, włączyli Polskę do sowieckiej strefy operacyjnej, uzależniając działania zbrojne na terytorium ziem polskich od zgody sowieckiej. Pomoc aliantów dla Powstania Warszawskiego była znacznie skromniejsza niż ich wsparcie dla powstań: słowackiego, paryskiego, bukaresztańskiego i zbrojnego ruchu oporu w Jugosławii i Grecji.

Stalin 1 sierpnia 1944 roku wydał wojnę Armii Krajowej, nakazując swym marszałkom aresztowanie żołnierzy AK i ich deportację, szczególnie oficerów, do Związku Sowieckiego. Można przyjąć hipotezę, że szczególna wrogość Stalina wobec Podziemnego Państwa Polskiego i jego sił zbrojnych wynikała z kompleksu porażki frontu południowego, którego był on politycznym komisarzem w 1920 roku, a także z chęci pośpiesznej sowietyzacji Polski otwierającej mu drogę do opanowania Europy Środkowej, szczególnie Niemiec oraz z pragnienia opanowania w ramach sowieckiej państwowości 48% terytorium II Rzeczypospolitej. Niepodległa, demokratyczna Warszawa oddziałująca na inne stolice Europy Środkowowschodniej oznaczała koniec jego europejskich planów kolonialnych.

Ta specyfika Powstania Warszawskiego powodowała, że mogło ono liczyć na poparcie znacznej części zachodniej opinii publicznej rozumiejącej, wbrew doraźnym interesom elit rządzących,

plany imperialne Stalina zagrażające w przyszłości interesom Zachodu.

Powstanie Warszawskie miało zdecydowane poparcie Stolicy Apostolskiej i Kościoła katolickiego bojącego się ateizacji Europy przez komunistów korzystających ze zwycięstw Armii Czerwonej. Korzystało także z poparcia Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, Międzynarodówki Socjalistycznej, która bała się odrodzenia Kominternu, Międzynarodówki Zawodowej, światowego skautingu i olbrzymiej większości organizacji polonijnych. Godzi się też przypomnieć, iż we wszystkich powstaniach europejskich 1944 brali udział Polacy.

Komuniści w Powstaniu Warszawskim odgrywali minimalną, marginesową rolę, solidaryzując się z polityką sowiecką wobec Powstania. Inną rolę, nieraz kluczową, odgrywali w pozostałych powstaniach europejskich 1944. Ich zgoda na linię graniczną, ustaloną przez Mołotowa i Ribbentropa, udział w kłamliwej, cynicznej kampanii dotyczącej zbrodni katyńskiej, zgoda na sowietyzację Wojska Polskiego powołanego w ZSRR w 1943 roku przez sowieckich generałów i oficerów, a także sowiecki wywiad wojskowy – odbierały możliwość oddziaływania na szersze kręgi społeczne w kraju.

Exodus warszawiaków – historycznie mityczna a realna liczba wypędzonych i wywiezionych przez Niemców

Przy okazji kolejnej rocznicy powstania 1944 roku pojawiała się w przemówieniach okolicznościowych liczba 650 000-700 000 osób wypędzonych z Warszawy i okolic, które trafiły do obozu w Pruszkowie i pomocniczych m.in. w Ursusie. Niemcy nakazali masowy i przymusowy exodus warszawiaków, który trwał od sierpnia do października 1944 roku. Podawana liczba obowiązuje prawie „kanonicznie” od dziesiątek lat. W wyniku cyklicznego powtarzania stała się już liczbą „prawdziwą”. Trzeba od razu stwierdzić, że nie jest faktyczna, ale silnie zawyżona o mniej więcej 250 000-300 000 osób. Te „faktyczne” liczby bazowały na słabych danych szacunkowych, których nie zestawiono ze statystykami niemieckimi czasu wojny, czy danymi demograficznymi stołecznymi okresu powojennego. Powstała całkiem pośpiesznie i bardzo prowizorycznie podczas wojny wykreowana przez stronę polską. Stworzyli ją pracownicy polscy związani z pruszkowską Delegaturą Rady Głównej Opiekuńczej, którzy pracowali na rzecz wypędzonych przez kilka miesięcy. Po wojnie, przez lata nikt nie próbował jej zweryfikować w oparciu o dostępne dane statystyczne. Składało się na to szereg przyczyn jak m.in. wprowadzanie nowego ustroju oraz prześladowania osób związanych z instytucjami „pańskiej, reakcyjnej Polski”. Dochodziły do tego olbrzymie zniszczenia wojenne. Niewątpliwie dużą przeszkodą było to, że olbrzymia część materiałów Wydziału Statystycznego Zarządu Miejskiego uległa całkowitemu zniszczeniu po powstaniu, w celowo spalanych przez Niemców

archiwach. Z kolei osoby, które były związane z niesieniem pomocy wypędzonym nie miały takich możliwości, aby dysponować faktycznymi wielkościami. Opierały się one na danych wyrwykowych uzyskanych od osób pracujących w administracji niemieckiej obozu w Pruszkowie. Stąd pochodzą bardzo przeszacowane liczby wypędzonych z Warszawy i okolic podmiejskich, którzy głównie trafili na teren warsztatów kolejowych w Pruszkowie, przy ulicy 3 Maja. Obóz ten jest znany pod skrótem niemieckim Dulag 121 powstałym od wojskowego słowa niemieckiego Durschgangslager 121 – czyli obóz przejściowy numer 121.

Tworząc podczas okupacji wielkości statystyczne nie bazowano na żadnych rzetelnych zestawieniach statystycznych, jak na przykład: dokładna liczba przyjętych i wysłanych wypędzonych, liczby odprawionych transportów kolejowych z dokładną liczbą wiezionych, wypędzonymi itd. Polacy oceniali „na oko” liczbę wypędzonych w obozie przejściowym. Z nieufnością odnoszono się do danych niemieckich – wrogich. Według takich „miarodajnych” szacunków przyjęto, że wielkość ta osiągnęła poziom około 650 000-700 000 osób. Sama liczba osób, które miały przejść przez „Dulag 121” w Pruszkowie została z grubsza oszacowana na około 650 000, w tym: 550 000 z terenu Warszawy oraz 100 000 spoza Warszawy m.in. Anin, Wawer, Zielonka, Kobylka, Tłuszcz, Łomianki, Młociny, Bernerowo, Włochy, Jelonki i ludność z łapanek okolicznych¹⁾. Liczba ta stanowiła bardzo przybliżone obliczenie²⁾.

Bardzo silnym impulsem uwiarygodniającym te dane było opublikowanie tuż po wojnie dwóch książek wydanych pod kierunkiem Edmunda Serwańskiego (1912-2000)³⁾. Jego postać jest bardzo

1) Edward Serwański, *Dulag 121 – Pruszków. Sierpień – październik 1944 roku*, Poznań 1946, s. 64-65. Nieco mniejszą wielkość około 600 000 osób, które miały przejść przez Pruszków podał Kazimierz Paszkowski, *Pruszków 1944*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Poznań b.r.w., s. 31.

2) Ibidem.

3) Edward Serwański, *Dulag 121 – Pruszków. Sierpień – październik 1944 roku*, Poznań 1946 oraz Edward Serwański i Irena Trawińska, *Zbrodnia niemiecka* Warszawie, Wydawnictwo Instytutu Zachodniego, Poznań 1946.

zasłużona w dokumentowaniu dziejów ludności cywilnej podczas i po powstaniu. Serwański był związany z Delegaturą Rządu od 1943 roku. Pracował w Sekcji Zachodniej Departamentu Informacji i Prasy Delegatury Rządu oraz w Wydziale Zachodnim Głównej Kwatery Szarych Szeregów oraz sam uczestniczył w powstaniu. Tuż po jego upadku rozpoczął z grupką współpracowników zbieranie relacji wypędzonych, konspiracyjnie dokumentował popełnione zbrodnie. Prace te prowadzono systematycznie w okolicach podwarszawskich w ramach Akcji „Iskra-Dog” do połowy stycznia 1945 roku⁴). W 1946 roku Serwański w oparciu o te dokumenty upublicznił tę wielkość w dobrej wierze. Sam nie był w stanie jej solidnie zweryfikować statystycznie. W ten sposób wielkość 650 000 wypędzonych: 550 000 warszawiaków i 100 000 innych, którzy mieli przejść przez Dulag 121 – weszła na trwałe do polskiej historiografii Powstania Warszawskiego. Pozostaje w niej do dzisiaj z okazji każdej kolejnej rocznicy. Dodatkowo przez inne obozy, w tym w Ursusie, miało przejść około 50 000 osób⁵). Serwański świadom swego niedokładnego szacunku wyraźnie zaznaczał, że podał tylko dane prowizoryczne Delegatury RGO w Pruszkowie, a nie dokładne⁶). Całkiem „przypadkowo” i w sposób przez jej twórców zupełnie niezamierzony powstała „święta krowa” historiografii Powstania Warszawskiego, którą powielano bezkrytycznie setki razy przez dziesiątki lat i wciąż się powiela.

Lata następne całkowicie nie sprzyjały badaniom nad dziejami ludności cywilnej w Powstaniu Warszawskim, czy Armią Krajową, Delegaturą Rządu. Znakiem ówczesnych czasów było m.in. to, że sam Edmund Serwański trafił do więzienia ze względu na swoje prace w strukturach Państwa Podziemnego. Przeszedł dwa i pół roku śledztwa w Warszawie i dostał wyrok siedmiu lat pozbawienia

⁴) W oparciu o zebrane relacje wyszła książka pod redakcją E. Serwańskiego, *Życie w powstańczej Warszawie. Sierpień– wrzesień 1944*, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1965.

⁵) E. Serwański, *Dulag 121 ... op. cit.*

⁶) Ibidem, s. 64.

wolności. Aresztowano go w marcu 1948 roku i z więzienia we Wronkach wyszedł na wolność w październiku 1951 roku⁷⁾.

Przy tworzeniu ówczesnej statystyki wypędzonych, którzy trafili do Pruszkowa przyjęto następujące dane wyjściowe. Uważano, że liczba osób żyjących tuż przed powstaniem wynosiła w Warszawie ostrożnie 1,1 miliona mieszkańców, z których 150 000 miało pozostać na prawym brzegu Wisły (Praga i Saską Kępą), a kolejne 200 000 ludności nie przeszło przez obozy. Straty w okresie powstania oceniono na 150 000 osób. Przez inne obozy (w tym Ursus) miało przejść 50 000. Liczba zwolnionych oficjalnie i wyprowadzonych nielegalnie mogła sięgnąć 100 000 osób, a 150 000 pojechało do Niemiec⁷⁾. Na tym poprzestano, bowiem nie miano żadnego dostępu do danych demograficznych stolicy, które uległy w dużym stopniu zniszczeniu.

Późniejsze badania nad demografią Warszawy prowadzone w latach sześćdziesiątych XX wieku zredukowały liczbę mieszkańców stolicy, którzy znajdowali się w mieście w lipcu 1944 roku do nieco ponad 900 tys. osób. Na początku 1939 roku w stolicy żyło 1,2895 mln mieszkańców, w tym 375 000 wyznania mojżeszowego – 29,1 proc. warszawiaków⁸⁾. Do 1 września 1939 roku Warszawa osiągnęła stan ponad 1,309 mln mieszkańców⁹⁾.

Podczas wojny na skutek mobilizacji wojennej, działań wojennych, ewakuacji urzędników i cywili oraz licznych prywatnych wyjazdów i osiedlenia się w stolicy, czy też eksterminacji niemieckiej, wielkości te uległy dużym wahaniom. Początkowo ze względu na osiedlenie w getcie warszawskim okolicznych Żydów liczba warszawiaków wzrastała do około 1,4 mln na przełomie 1941 i 1942 roku. Następnie bardzo szybko i wyraźnie spadła. Latem 1942 oraz wiosną 1943 roku wywieziono i zabito prawie wszystkich Żydów warszawskich oraz osoby spędzone do getta warszawskiego z rejo-

⁷⁾ Ibidem, s. 64-65.

⁸⁾ Marian Drozdowski, *Skład i struktura społeczna Ludności*, [w:] *Warszawa II Rzeczypospolitej 1918-1919*, Tom 1, Warszawa 1968, s. 52.

⁹⁾ W. Fałkowski [red.], *Straty Warszawy 1939-1945. Raport*, Warszawa 2005, s. 294.

nów podmiejskich (1940-42). Niemiecki spis ludności z 31 grudnia 1943 roku podawał liczbę 954,4 tys. osób żyjących w Warszawie, z których mniej jak 900 tys. było Polakami¹⁰⁾.

Niemiecka polityka ludobójcza spowodowała olbrzymią redukcję w liczbie warszawiaków przed powstaniem. Okupant wysyłał warszawiaków do pracy przez obóz przejściowy (Dulag 1), który był koło stacji kolejowej Warszawa Wschodnia, w przedwojennym budynku Gimnazjum Miejskiego im. Jakuba Jasińskiego przy ul. Skaryszewskiej 8. Ludzi wysyłano do obozów koncentracyjnych lub zabijano na Pawiaku, rozstrzeliwano zakładników w egzekucjach na ulicach miasta i okolic.

Z planową polityką eksterminacyjną Niemców wobec obywateli Polski wiązała się podwyższona naturalna śmiertelność wywołana przez pogorszenie się stanu zdrowia setek tysięcy ludzi na skutek złego zaopatrzenia w żywność, środki medyczne oraz wzrost zachorowań na śmiertelne choroby m.in. gruźlicę, tyfus, czerwonkę. Głównym czynnikiem wywołującym to zjawisko były niskie przydziały norm żywnościowych dla obywateli polskich. Nędzne zaopatrzenie w żywność dodatkowo powiększało pulę przedwczesnych zgonów na skutek śmiertelnych chorób wywołanych pośrednio wygłodzeniem i osłabieniem organizmu.

Na dzień 1 lipca 1944 roku liczba warszawiaków osiągnęła poziom około 920 000 osób, z których 720 000 żyło na lewym brzegu Wisły, a 200 000 na prawym (na Pradze)¹¹⁾. Część z nich stanowili Niemcy z rodzinami oraz ich sojusznicy żyjący w stolicy m.in. folksdojczycy (Volksdeutsche), Ukraińcy, Rosjanie.

Po wyzwoleniu stolicy przez żołnierzy Wojska Polskiego 17 stycznia 1945 roku w Warszawie przebywało 162 000 warszawiaków, z których 140 000 mieszkało na Pradze, a około 20 000 w rejonie

¹⁰⁾ Andrzej Gawryszewski, *Ludność Warszawy w XX wieku*, Instytut Geografii i Przestrzennego Zagospodarowania PAN, Warszawa 2009, s. 77, 80. Na dzień 31 grudnia 1941 roku ewidencja niemiecka przyjmowała, że w mieście żyło 1351,8 tys. mieszkańców, w tym 907,3 tys. Polaków.

¹¹⁾ Ibidem, s. 83.

Ochoty i Służewca. Wyzwolenie miasta spowodowało szybki powrót tysięcy wypędzonych. Stolica liczyła 347 800 mieszkańców na dzień 9 grudnia 1945 roku¹²⁾. W 1950 roku według Narodowego Spisu Powszechnego żyło 659,4 tys. osób, które w sierpniu 1939 roku mieszkały w Warszawie, z tej wielkości 500,2 tys. ponownie było w Warszawie¹³⁾.

W związku z obecnie znanymi danymi statystycznymi trzeba przyjąć, że na lewym brzegu Wisły przebywało w trakcie i po Powstaniu maksymalnie nie więcej niż 720 000 mieszkańców. Realnie nawet i ta liczba była niższa w sierpniu 1944 roku. Część z warszawiaków w pośpiechu opuściła miasto przed rozpoczęciem walk obawiając się nadciągającego frontu lub wyjechała na lotniska, wakacje itd. Bardzo silnym bodźcem skłaniającym wielu mieszkańców do opuszczenia miasta i udania się w bezpieczniejsze okolice podmiejskie były sowieckie naloty bombowe na Warszawę w końcu lipca 1944 roku oraz wieści o nadciąganiu frontu.

Duża część mieszkańców zginęła w powstaniu, szacunkowo około 120-180 000 zabitych, najczęściej jest podawana obecnie liczba 150 000 zabitych. Ta ostatnia liczba budzi burzliwe dyskusje od lat. W pracy Mai Motyl i Stanisława Rutkowskiego poświęconej zbrodniom niemieckim podczas Powstania Warszawskiego, dwójka badaczy obliczyła, że straty ludności cywilnej poza działaniami bojowymi wyniosły ponad 63 000 osób¹⁴⁾. Od kilku lat pojawia się nowa liczba szacunkowa zabitych warszawiaków – 120 000 osób.

Jeszcze inna grupa, która żyła w mieście podczas walk powstańczych, nigdy nie trafiła do żadnego obozu przejściowego. Osoby te samodzielnie wyszły z miasta przenikając słaby kordon niemiec-

12) Wojciech Fałkowski [red.], *Straty Warszawy...*, op. cit., s. 294.

13) Adam Lipowski, *Procesy demograficzne w Warszawie*, [w:] *Warszawa stolica Polski Ludowej. Zeszyt 1*, IH PAN, Warszawa 1970, s. 329.

14) Maja Motyl, Stanisław Rutkowski [opr.], *Rejestr miejsc i zbrodni popełnionych przez okupanta hitlerowskiego na ziemiach polskich w latach 1939-1945. Powstanie Warszawskie 1 VIII-2 X 1944*, Warszawa 1994.

ki podczas lub po upadku Powstania. Jest to nieznana liczba osób. Wreszcie część tych, których Niemcy zagarnęli i wysyłali do obozów przejściowych, zdołała uciec z kolumn lub z terenu obozu, albo nawet później z kolejowych transportów niemieckich. Jest to kolejna nieznana wielkość.

Na koniec kilkaset osób (orientacyjnie między 400 a 1000 osób) ukrywało się w Warszawie do stycznia 1945 roku, jako „Robinsonowie warszawscy” – m.in. Władysław Szpilman. Według szacunków Serwańskiego liczba osób, która miała nie przejść przez obozy przejściowe sięgała 200 000 ludzi, co jest wielkością bardzo niepewną, może nawet poważnie zaniżoną.

W związku z powyższym, dziś nie da się utrzymać wielkości około 650 000 osób, które miały przejść przez obóz w Pruszkowie oraz kolejnych 50 000, które przeszły przez podobne miejsca – łącznie 700 000. Są to liczby zawyżone przez stronę polską o około 250 000-300 000 osób. Po 1945 roku, przez wiele lat żaden polski organ państwowy, samorządowy nie próbował ustalić liczby zabitych i zmarłych warszawiaków oraz osób wypędzonych. Do dziś te dane są szacunkowe, spekulacyjne.

Podchodząc do liczby wypędzonych, którą ujęto w dokumentach niemieckich to funkcjonują tu dwie różne, lecz w sumie podobne wielkości. Pierwszą są dane zawarte w raporcie końcowym gubernatora dystryktu warszawskiego SA Gruppenführera dr Ludwika Fischera, adresowanym do generalnego gubernatora, ministra Rzeszy dr Franka. W dokumencie napisanym po Powstaniu podano, że: *W sumie przez obóz w Pruszkowie i Ursusie przewinęło się do 14 października 1944 r. 350.617 uciekinierów, z czego 347.488 skierowano dalej. Na tę liczbę składają się odpowiednio:*

Wywiezieni na roboty do Rzeszy: 153.810 osób

Rozmieszczenie w dystryktach: w warszawskim, radomskim, krakowskim, jako niezdolni do pracy uchodźcy: 167.752 osoby

Jako chorych wypuszczono: 25.926 osób.

347.488 osób.

Te same wielkości powtórzył w pracy o Powstaniu Warszawskim niemiecki historyk Hans von Krannhals¹⁵⁾. Obok tych danych istnieje wojskowy raport niemiecki. Tuż po ustaniu walk, w sztabie Grupy Armii „Środek” powstał dokument, w którym przytoczono nieco różniące się dane. Przez obóz przejściowy w Pruszkowie przeszło ogółem 363 318 mieszkańców Warszawy, z czego w sierpniu 111 000, we wrześniu 139 000, a w październiku 113 000 osób. Niemcy wyselekcjonowali 87 250 osób, które wywieziono na roboty przymusowe do Niemiec, kolejne 209 361 osób rozesłano po różnych miejscach Generalnej Guberni, a 68 707 zesłano do obozów koncentracyjnych. Raport ten sporządził Zarząd Gospodarczy przy dowództwie Grupy Armii „Środek”. Bazował on na raportach częściowych opracowywanych co miesiąc, za wrzesień, październik, listopad 1944 roku. Pod tym dokumentem widnieje podpis Gen. Leut. Günthera Niedenfuhr¹⁶⁾.

W opracowania Edwarda Serwańskiego o „Dulagu 121” podano taką informację: (...) *Według relacji sekretarki komendantury w Zielonym Wagonie [siedziba Gestapo w Dulagu 121 – uwaga aut.], która oglądała spisy, przez obóz od początku do 20 września przeszło 370 tysięcy ludzi (...)*¹⁷⁾. Jest to wielkość zawyżona, może źle ją przepisano (?). Bowiem według obliczeń kontroli niemieckiej od 6 sierpnia do 18 września 1944 roku przybyło do obozu w Pruszkowie 238 218 osób, z których 128 371 uznano za zdolne do pracy i przewieziono do Niemiec, a 109 847 uznano za niezdolne do pracy i zwolniono je po przewiezieniu do miejsc ich nowego zamieszkania¹⁸⁾.

Potwierdzeniem statystyk niemieckich mogą być dane po-

15) Hans von Krannhals, *Der Warschauer Aufstand*, Frankfurt am. Main, 1964, podaje wg tych danych niemieckich przez „Dulag 121” przeszło 347.524 wypędzonych, w tym: wywieziono na roboty do Rzeszy – 153.810; do Generalnej Guberni – 167.752 osoby; 25.962 zwolniono jako chorych.

16) Ryszard Nazarewicz, *Z problematyki politycznej powstania warszawskiego 1944*, Warszawa 1985, s. 339, Autor jako źródło informacji wymienia zbiory mikrofilmów Wojskowego Instytutu Historycznego, mf VII/2/626.

17) E. Serwański, *Dulag 121...*, op. cit., s. 65.

18) E. Kołodziejczyk, *Dulag 121*, op. cit., [w:] *Przegląd Pruszkowski* 1981, Zeszyt 2, s. 23.

chodzące od warszawskiej dyrekcji kolejowej. Zresztą głównym środkiem wywozu wypędzonych ze stolicy była niemiecka kolej wschodnia (Generalna Dyrekcja Kolei Wschodniej – *Generaldirektion der Ostbahn*). Zarządzała ona nie-prywatnymi kolejami w Generalnym Gubernatorstwie w latach 1939-1945. W dużej mierze korzystała z infrastruktury oraz licznego polskiego personelu dawnej PKP. Według tej administracji pociągami wywieziono 330 000 mieszkańców Warszawy oraz 16 000 powstańców – jeńców. Do tego wywieziono 45 000 wagonów dobytku ewakuacyjnego, który zapełnił około 1000 pociągów. Niemcy ograbili stolicę ze wszystkich ważnych i cennych urządzeń kolejowych i fabrycznych¹⁹⁾. Można przy tym dodać, że sam teren warsztatów kolejowych w Pruszkowie (50 hektarów), który podczas wojny służył jako wielkie zaplecze remontowe dla niemieckiej kolei wschodniej zanim stał się terenem obozu przejściowego został całkowicie ograbiony przez okupanta z całego wyposażenie załadowego, które Niemcy zabrali do Rzeszy.

Następnym potwierdzeniem wielkości oficjalnych, zbliżonych do wymienianych przez Niemców, są wspomnienia polskiej tłumaczki z „Dulagu 121” Danuty Leśniewskiej (po mężu Sławińskiej). Polka ta, która bardzo dobrze знаła język niemiecki, pracowała w niemieckiej wojskowej komisji lekarskiej od 2 września 1944 roku do grudnia 1944, a potem była jeszcze niemiecką tłumaczką obozową aż do samego końca, do 16 stycznia 1945 roku. Przy pomocy zaprzyjaźnionego Niemca – Wolffa, który świadomie odpisał dla niej dane – uzyskała wielkości statystyczne, które sporządzono dla komendanta Dulagu. Według tych informacji do 27 listopada 1944 roku wysłano transportami kolejowym z Pruszkowa następujące ilości ludzi: *bis 1 Okt. 283.544* (do 1 października 1944 wysłano 283 544 osób – uwaga aut.),

bis 1 Nov 352.596 (do 1 listopada 1944 wysłano 352 596 osób – uwaga aut.),

¹⁹⁾ *Warszawski Węzeł Kolejowy, Wczoraj dziś jutro*, Wydawnictwo Komunikacji i Łączności, Warszawa 1977, s. 109.

bis 27 Nov 358.710 (do 27 listopada 1944 wysłano 358 710 osób – uwaga aut.)²⁰⁾. Według szacunków Leśniewskiej przez obóz w Pruszkowie mogło przejść od 390 do ok. 410 tysięcy ludzi²¹⁾.

Dane niemieckie rzecz jasna nie ujmują zmarłych i zabitych, a jest to też pewna wielkość powstała na skutek wypędzenia. Na drogach do, lub podczas pobytu w Dulagach, albo po zwolnieniu, ginęli, umierali chorzy, wyczerpani i ranni. Ich mogiły są w różnych miejscach poza stolicą. Na przykład na cmentarzu w Tworkach, gdzie grzebano osoby zwolnione z „Dulagu 121”, które zmarły w szpitalu od 16 sierpnia 1944 roku do 17 marca 1945 roku, spoczywa 512 osób. Z warsztatów kolejowych na Żbikowie ekshumowano 27 kwietnia 1945 roku – przenosząc na cmentarz w Pruszkowie – 82 nieznanych „powstańców warszawskich”, 50 nieznanych cywili „warszawskich”, w tym 23 kobiety i ośmioro dzieci²²⁾. Część z nich Niemcy zastrzelili na Dulagu po przesłuchaniach.

Znane są relacje, kiedy w połowie sierpnia 1944 roku (kilka dni po otwarciu obozu w Pruszkowie) przywieziono na pruszkowskie „glinianki” (przy ul. Lipowej) dwie ciężarówki z „powstańcami”, których Niemcy zastrzelili (mogło to być 30-50 osób?). Z egzekucji cudem ocalał jeden mężczyzna, lekko ranny w szyję. Uratowano go w szpitalu „Na Wrzesinie”²³⁾. Może ta zastrzelona grupa młodych mężczyzn pochodziła z Domu Poprawczego w Strudze koło Warszawy (?). Kierownik domu – ks. Jan Zawada – złożył taką relację o swoich podopiecznych (112 chłopcach). *Tych, których nie wymordowano w Ogrodzie Saskim przyprowadzili Niemcy na drugi dzień do Pruszkowa i tam, kto nie zdążył uciec, 9 sierpnia*

20) Danuta Słowińska, *Kiedy kłamstwo było cnota, Wspomnienia z pracy w obozie przejściowym w Pruszkowie 2. IX.1944 – 16. I.1945*, Godwana, 2006, s. 376.

21) Ibidem.

22) Tadeusz Jaros, *Martyrologia pruszkowska 1939-1945*, Pruszków 2004, s. 26.

23) Rozmowa autora z Janem Wińczukiem – świadkiem mordu w 1944 r., przeprowadzona w listopadzie 2004 r., oraz Edward Steffen – Junior, *Pamiętniki z czasów II wojny światowej. Lata 1942-45*, [w:] Przegląd Pruszkowski 1992, Zeszyt nr 1, s. 59.

wieczorem wystrzelano. Świadkiem tego był Stanisław Maciejewski, kapitan WP²⁴⁾.

Na cmentarzu w Gołąbkach w Ursusie są mogiły 70 znanych z nazwiska oraz 40 nieznanych „warszawiaków”²⁵⁾. W graniczącym z Pruszkowem Komorowie pochowano na tamtejszym cmentarzu 34 osoby. Osoby te zmarły między 5 września a 30 listopada 1944 roku. Wśród nich był m.in. Aleksander Janowski (1866-1944), jeden z twórców Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego²⁶⁾.

W Milanówku, gdzie było główne centrum szpitali ewakuowanych z Warszawy spoczywa 295 osób zmarłych od września 1944 roku do lipca 1945 roku²⁷⁾. Nie są to wszystkie miejsca pochówku zmarłych z różnych powodów „warszawiaków”.

Zestawiając różne dane statystyczne trudno powtarzać, pokutujący od blisko 70 lat mit o 650 000 osobach, które miały przejść przez Dulag 121 (550 000 warszawiaków oraz 100 000 osób spoza Warszawy). Liczba osób, które mogły wówczas trafić do obozów przejściowych w Pruszkowie, Ursusie, Ożarowie, Piastowie, Skierniewicach oscyluje od ok. 370 000 do maksymalnie około 410 000 osób. W tym wypadku przez Dulag 121 mogło przejść, według szacunków autora, około 380 000-390 000 osób od sierpnia do grudnia 1944 roku. Następnie wywieziono pociągami w głąb Generalnego Gubernatorstwa lub do Rzeszy nie więcej jak 346 000-360 000 osób. Różnica między osobami, które trafiły do Dulagu 121, tymi wywiezionymi pociągami to osoby zwolnione z obozu przez niemieckie komisje lub te osoby, które same z niego uciekły (mniejszość).

²⁴⁾ E. Kołodziejczyk, Dulag 121, op. cit., s. 10.

²⁵⁾ Rozmowa z Janem Cierlińskim w listopadzie 2004.

²⁶⁾ Z. Kowalewicz, *Historia Komorowa*, [w:] Głos Pruszkowa nr 6/2007.

²⁷⁾ Andrzej Stawarz [red.], *Zarys dziejów Milanówka*, Milanówek 1995, s. 105.

Tabela. Liczba wypędzonych: dane szacunkowe z 1946 oraz szacunki autora.

	E. Serwański 1946 r.		Autor 2014 r.	
Ludność Warszawy	1 100 000		900 000 – 920 000	
Ludność pozostała na Pradze i Saskiej Kępie		150 000		140 000 + 20 000
Ludność, która nie przeszła przez obozy		200 000		150-200 000
Straty w czasie powstania		150 000		63 000 – 120 000
Przez inne osoby jak Ursus przeszło		50 000		10 000
Suma		150 000		
Przez obóz pruszkowski przeszło z terenu Warszawy	550 000		360-400 000	
Z poza Warszawy – Anin, Wawer, Zielonka, Kobyłka, Młociny, Boernerowo, Włochy, Jelonki, okoliczne łapanki	100 000		?	10 000 -30 000
Razem przez obóz pruszkowski przeszło	650 000		390-410 000	

Źródło: opracowanie własne

ANDRZEJ „PIÓRKO” BRZESKI (1944–2010)



Andrzej „Piórko” Brzeski (fot. Piotr Gajewski)

Był barwną postacią naszej szkoły. Mówiąc kolokwialnie – zrobił karierę, odszedł szybko, zbyt szybko. Przez lata związany był z Milanówkiem, tu też się urodził 25 marca 1944 r.

OKRES ZANIACKI

Na początku lat 60. Andrzej był w Filharmonii na koncercie New Orleans Stompers ze Zbyszkim Namysłowskim grającym wówczas na puzonie. Zauroczony „zachorował” na ten instrument i matka zapisała go do szkoły muzycznej w Grodzisku Mazowieckim. Tam dołączył do zespołu muzycznego, puzon zdobyto od Straży Pożarnej i nawet zagrano z okazji zbliżającego się Sylwestra. Wkrótce kapela przeniosła się do Żyrardowa, tam wystąpiła na konkursie zespołów dixie w Klubie „Pietrek” (kier. Leszek Miller – późniejszy premier) zajmując II miejsce. Andrzej Tadeusz Brzeski należał do osób o niepoślednim poczuciu humoru, typu pure nonsense, stąd prawdopodobnie jego przydomek – PIÓRKO. Oczywiście, miało to później pewne przełożenie na jego sposób widzenia rzeczywistości, tytuły kompozycji czy składy zespołów. Lubiany przez kolegów w naszym liceum należał do bardziej znanych postaci, wiele roczników „po nim” znało go doskonale, potrafili też przytoczyć niektóre jego dowcipy czy grepsy. Andrzej w okresie zaniackim zakończył naukę w podstawowej szkole muzycznej w Grodzisku Mazowieckim i rozpoczął edukację w warszawskiej szkole średniej nr 1. Oczywiście widywaliśmy się niemal codziennie – tym bardziej jak się „coś działo”, albowiem wraz z kolegami często inscenizował scenki jak ta w bramie przy wejściu do szkoły. Otóż pewnego wiosennego i pięknego dnia Andrzej wraz z kolegami stał nad otwartym włazem kanalizacyjnym (telefonicznym?) i z wielką uwagą trzymał tam naprężony sznurek-wędkę. Na pytania młodszych zaniaków oraz nauczycieli tajemniczo się tylko uśmiechali dając do zrozumienia że wykonują ważną misję. Po dwóch godzinach lekcyjnych i ich nieobecności na nich „misję” brutalnie przerwał Kubel (tj. woźny) – jasne, że na wyraźne polecenie Grzyba (tj. dyr. Gilewicza). Mimo kontaktów z rodziną nie udało mi się ustalić, czy maturę Andrzej zrobił w normalnym trybie, czy jak wypowiadał się dla miesięcznika Fakty Piłskie: „chodziłem WIECZORAMI DO OGÓLNIKA W PRUSZKOWIE” (rozmowa

Mariusza Szalbierza, maj 2010). Jego kolega klasowy Janek Gołębiewski twierdzi, że normalnie, i że na rozdanie matur zajechał wraz z przyjaciółmi szykowną bryczką. Janek potwierdza nieprzeciętne poczucie humoru Brzeskiego: – Lubił tańczyć, podrywał jak szalony dziewczyny. Pamięta też jego koncert w Filharmonii po uzyskaniu dyplomu w PWSM, już z Paradoxem i taki utwór-żart muzyczny o tytule „Śmierć karalucha”.

PIERWSZE NAGRODY PARADOXU

Chyba największym sukcesem życiowym Brzeskiego było skrzyknięcie kolegów na studiach w PWSM (Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna) na Okólniku i założenie w 1967 (raczej w 1968) zespołu muzycznego o nazwie Paradox. Sam skład instrumentalny: puzon (lider – Andrzej), fagot, kontrabas, wiolonczela, nieco później – gitara, odzwierciedlała podejście Brzeskiego do muzyki. Grupa była bez perkusji i oto chodziło, miała nietypowe brzmienie – i oto też chodziło. Nie można jej było zasufladkować – sytuowała się pomiędzy barokowym zespołem kameralnym, jazzowym a popowym. Oczywiście, skład instrumentalny i osobowy zmieniał się. Potem skład Paradoxu uzupełniła Dorota Szafnicka – grająca na skrzypcach i śpiewająca. W schyłkowym okresie istnienia grupy (istniała ledwie 6 lat) akompaniowała Elżbiecie Jodłowskiej i Mariannie Wróblewskiej. Trzeba wiedzieć, ale niektórym naszym czytelnikom przypomnę: wszystko zaczęło się od I nagrody dla zespołu jazzu nowoczesnego (sic!; II miejsce zespół Zbigniewa Seiferta) plus nagrody za repertuar, solowej dla Brzeskiego i dziennikarzy na studenckim festiwalu Jazz nad Odrą w 1968 r. Rok później Brzeski, namówiony przez kierownika Klubu „Hybrydy” (gdzie Paradox miał swoje próby) do udziału w Studenckim Festiwalu Piosenki w Krakowie, zdobywa I nagrodę za piosenkę „Ballada o Wyspie Królów”.

DALSZE NAGRODY I WYJAZDY

W latach następnych Paradox był wielokrotnie nagradzany i dużo wojażował po Europie. I tak na festiwalu jazzowym w San Sebastian w 1970 r. nagroda publiczności, w Prerovie – Czechosłowacja 1971 i w Beek-en Donk – Holandia. Na tych ostatnich występował z nim m. in. Marek Gołębiowski, zespół ilustrował muzycznie jego mistrzowskie etiudy. Złoty Medal MKiS za zasługi dla kultury studenckiej spowodował wydelegowanie Paradoxu przez ZSP (Związek Studentów Polskich) na tournée po ZSRR, z Jerzym Cnotą – konferansjerem. W roku 1971 Paradox odwiedził angielskie miasteczko York w ramach York Art Festival wraz z autorem Wojciechem Krukowskim, publicystą i satyrykiem Jerzym Afanasjewem i Janem Sawką – artystą plastykiem. W tym samym roku Polskie Nagrania zdecydowały się nagrać LP „Lotne Piórko” w serii Polish Jazz, vol. 26. Ten rok i wiele miesięcy następnego 1972 zespół spędził na powtórnym tournée po ZSRR, ale ze Stanisławem Syrewiczem – piano, Marią Głuchowską – śpiew, grupą 2 plus 1 oraz Bogdaną Zagórską i Maciejem Wróblewskim (lauretami „Koło Brzegu”). W tym samym roku Paradox uzyskał I nagrodę na Festiwalu jazzowym w Dunkierce oraz wystąpił na festiwalach w Jugosławii i w Norwegii. Kończąc ten temat trzeba dodać – w latach 1969-1973 Paradox regularnie grał na corocznym Jazz Jamboree.

„MÓJ” PARADOX

Paradox z początkiem lat 70. należał do najpopularniejszych zespołów jazzowych, był rekordzistą w ilości wyróżnień i rozmaitych nagród. Z czasem grał coraz więcej imprez rozrywkowych, m. in. akompaniował śpiewającą aktorce Elżbiecie Jodłowskiej w licznych audycjach TV, Mariannie Wróblewskiej (przebój Brzeskiego

„Byle bym się zakochała”) – także podczas kontraktu w Syrii podczas wojny libańskiej. Andrzej coraz więcej aranżował i komponował, np. A. Dąbrowski „Dziewczyna perkusisty”, Siostry Winiarskie „Gdzie te lata swingu”, „Ja ci dam kaktusa”, a w roku 1974 został kierownikiem muzycznym dużej imprezy poznańskiej „Wiosna Estradowa”. Nieco wcześniej często spotykałem Go w kolejce PKP (on z Milanówka, ja z Pruszkowa), biegałem wtedy na Uniwersytet, on do PWSM. Wtedy pokazał mi krótszą drogę z Powiśla, zwierzył się też: – Wiesz, mam nowego świetnego gitarzystę – to Sławomir Piwowar, ma absolutny słuch, ale i 16 lat, boję się, że w tej branży zmarnuje się... Jednak najczęściej spotykaliśmy się na jego koncertach, dawałem też nieustannie informacje i foty Paradoxu do gazety, w której wraz z kolegą prowadziliśmy muzyczną rubrykę. Kiedyś zaprosił nas (Jurka Bojanowicza i mnie) do Milanówka; nie pamiętam czy miał być to wywiad, ale po dużej ilości winka wyszły z tego chyba nici. Ostatni raz spędziliśmy cały wieczór na JJ razem w amfiteatrze słuchając Sonny Rollinsa i gadając bez umiaru.

W GŁOWACZEWIE

Jeśli „najedziemy” na Głowaczewo w GoogleMaps, to nic specjalnego nie wypatrzymy, ot rozrzucone zabudowania na skraju wielkiego lasu, kilkanaście kilometrów na północny wschód od Wąlcza. Ale miejscowość nad rzeczką Piławą musi być więcej niż urokliwa. To tutaj, namówiony przez kolegę szkolnego Tomka Krajewskiego, Brzeski („...jak zobaczyłem zbocze pagórka, idealne na amfiteatr, to wiedziałem że to jest to”) osiedlił się w 1987 r. po latach pracy w Skandynawii (w sumie grał tam 17 lat) i z żoną Ewelina założyli pensjonat. Z czasem „obiekt” rozrósł się znacznie (korty, basen, itp.) a Andrzej już w 1990 r. zorganizował ogólnopolski (ale także z akcentami międzynarodowymi) festiwal „Blues nad Piławą”. Przez kilka lat (1990-1993) był to taki bluesowy Woodstock, potem impreza odbywała się tylko w pensjonacie, aż latem 1999 Mike Russell nawiedził pensjonat w Głowaczewie, co

zostało zarejestrowane na CD „Blues Party nad Piławą”. Jesienią 2008 r. Andrzej skrzyknął „starych” muzyków i liczne grono przyjaciół i obchodzili razem 40-lecie powstania Paradoxu. Rok później zorganizował w Pile „Blues Party Festival”, kontynuowany po jego śmierci przez kolegów i rodzinę. W 2013 roku – z inicjatywy przyjaciół – u wejścia do Młodzieżowego Domu Kultury w Pile zawisła pamiątkowa tablica poświęcona Andrzejowi.

Andrzej Brzeski do końca był aktywnym, nie tylko muzykiem (m.in. pisywał recenzje do lokalnych mediów) – współpracował z zespołem Blues Menu, z klawecistą Piotrem Pawlakiem założył duet BP Band, regularnie pojawiał się na jam-sessions w pilskim klubie Classic. Zmarł 19 października 2010 r. w pilskim szpitalu na skutek wirusowego zapalenia pnia mózgu; pochowany na Cmentarzu Komunalnym. Zostawił dwóch synów (w Milanówku) z pierwszego małżeństwa z zaniaczką (matura 1965) Alicją Wolff oraz trójkę dzieci z Ewelina. Najmłodsza córka, Maria Brzeska, zamierza kontynuować imprezy ojca, także dbać o Jego pamięć.

Jan Dionizy Piotrowski

Jan Dionizy Piotrowski inżynier mechanik, pionier przemysłu obrabiarkowego w Polsce, członek Akademii Nauk Technicznych, członek honorowy Stowarzyszenia Inżynierów i Mechaników Polskich (SiMP), dyrektor techniczny Wytwórni Obrabiarek i Narzędzi w Pruszkowie i Fabryki w Porębie Stowarzyszenia Mechaników Polskich z Ameryki od 1921r., a następnie dyrektor Centralnego Biura Konstrukcyjnego Obrabiarek w Pruszkowie w latach 1952 – 1964.

To Jan Piotrowski otwierał 1 grudnia 1921r. Szkołę Rzemieślniczo – Techniczną w Pruszkowie w imieniu Stowarzyszenia Mechaników Polskich.

Był jej opiekunem z ramienia Wytwórni, aż do 1949 r. Dzięki jego zaangażowaniu, pomocy w wyposażeniu warsztatów szkolnych w narzędzia i obrabiarki oraz finansowaniu, placówka rozwijała się i przetrwała trudny czas wielkiego kryzysu gospodarczego w latach trzydziestych XX wieku oraz czasu okupacji i odbudowy po 1945 r. Dbał o wysoki poziom kształcenia zawodowego uczniów. Troszczył się o absolwentów szkoły – wszyscy w okresie międzywojennym znaleźli zatrudnienie w pruszkowskiej fabryce.

Szkoła po reformie z 1932 r. stała się wzorcem dla innych tego typu szkół fabrycznych. Wzorowe wyposażenie warsztatów, program kształcenia, organizacja stały się przedmiotem licznych wizytacji i artykułów w prasie o szkolnictwie zawodowym¹⁾.

Jan Piotrowski urodził się 21 października 1875 r. w Borysowie na Białorusi, jako syn Michała – inżyniera konstruktora komunikacji

¹⁾ J. Piotrowski, „Przegląd Mechaniczny” 1938, t. 4, nr 5, s. 37 – 55

wodnych w państwie rosyjskim (zmarł w 1884r.) i Anny z Siezieniewskich (przed zamążpójściem była nauczycielką, zmarła w 1929 r.).

W 1894 r. ukończył gimnazjum klasyczne w Mińsku. Następnie studiował w Petersburgu w Instytucie Technologicznym. Ukończył go w 1900 r. i uzyskał dyplom inżyniera technologa. W trakcie studiów był jednym z czołowych działaczy Polskiej Partii Socjalistycznej. Tu spotkał Józefa Piłsudskiego, który kierował partią²⁾. Po ukończeniu uczelni, z polecenia władz PPS, wyjechał do Warszawy, gdzie rozpoczął pracę jako konstruktor w fabryce „Gerlach i Pulst”. W 1901r. zakończył swoją przygodę z ruchem socjalistycznym, wystąpił z partii z powodu przekonań religijnych i głębokiej wiary³⁾.

Po opuszczeniu PPS poświęcił się pracy zawodowej. Awansował szybko na stanowisko dyrektora technicznego. W czasie I wojny światowej, w 1915 r. wraz z fabryką i załogą został ewakuowany do Charkowa. Przebywał tu do lata 1921 r. Wrócił do Polski. Od sierpnia 1921r. rozpoczął pracę w Stowarzyszeniu Mechaników Polskich w Ameryce organizując jako naczelny inżynier dwie fabryki obrabiarek w Pruszkowie i Porębie k/Zawiercia na Śląsku.

Od maja 1923 r. aż do wybuchu II wojny światowej był członkiem zarządu Stowarzyszenia i dyrektorem technicznym obu fabryk, które stały się największym w kraju producentem obrabiarek mających zastosowanie w hutnictwie, kolejnictwie, przemyśle maszynowym i zbrojeniowym.

Jan Piotrowski był przeświadczony o wyjątkowej roli przemysłu obrabiarkowego dla całego życia gospodarczego i postępu technicznego. Był ciekawy, jak rozwijała się ta gałąź przemysłu w innych krajach, stąd jego liczne wyjazdy służbowe do Niemiec, Wielkiej Brytanii, Czechosłowacji, Belgii, Szwecji, Holandii.

W swojej działalności starał się utrzymywać kontakty z politechnikami i innymi instytucjami naukowymi. Pozostawał w bliskich stosunkach zawodowych i przyjacielskich z prof. Henrykiem Mierze-

2) Archiwum PAN, Warszawa, Teczka Jana Piotrowskiego, syg. III– 110, j38

3) Polski Słownik Biograficzny , t. 24, s. 476

jeńskim. Po jego śmierci otrzymał propozycję przejęcia katedry, której nie przyjął, nie chcąc stracić bezpośredniej pracy w przemyśle.

Aktywnie działał w licznych stowarzyszeniach, instytucjach naukowych, technicznych i gospodarczych, wygłaszał odczyty. Wniósł duży wkład w utworzenie w październiku 1924 r. Polskiego Komitetu Normalizacyjnego, którego został członkiem. Uczestniczył w pracach Stowarzyszenia Inżynierów Mechaników Polskich, był wielokrotnie członkiem zarządu, sądu koleżeńkiego i sekcji fachowych, zwłaszcza Sekcji Warsztatowej. Należał do grona mechaników najczęściej wygłaszających referaty. Na Pierwszym Kongresie Inżynierów we Lwowie w 1937 r. przedstawił referat: „Zagadnienia przemysłu obrabiarkowego”.

Od roku 1923 był jednym z dziewięciu członków czynnych Wydziału Nauk Mechanicznych Akademii Nauk Technicznych, członkiem zarządu Polskiego Związku Przemysłowców Metalowych, prezesem Grupy Producentów Narzędzi i Grupy Wytwórni Obrabiarek, członkiem Komitetu Wykonawczego Zakładów Mechanicznych „Ursus” S.A., wchodził w skład Rady Szkolenia Zawodowego Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego jako konsultant w zakresie programów liceów mechanicznych, zakładał Towarzystwo Oświaty Zawodowej w 1934 r., reaktywował „Mechanika” w 1938 r., a także wchodził w skład ich komitetów redakcyjnych.

We wrześniu 1939 r. Jan Piotrowski pozostał w Wytwórni w Pruszkowie. Niemcy po zajęciu fabryki usunęli go z zajmowanego stanowiska. Przez całą okupację pełnił dwie funkcje: zastępcy szefa biura technicznego i technicznego kierownika sprzedaży.

Uczestniczył w działalności konspiracyjnej, współpracował z wywiadem przemysłowym Armii Krajowej. Był informatorem nr 9 składającym meldunki w latach 1941 – 1944 o sytuacji w pruszkowskiej fabryce.

Zdażył ukryć przed zniszczeniem Wytwórni w sierpniu 1944 r. wraz ze współpracownikami w swoim ogrodzie w Komorowie

dokumentację techniczną, plany zakładu oraz spisy wywiezionych do Rzeszy maszyn. Dzięki temu po wyzwoleniu można była szybko przystąpić do odbudowy i uruchomienia zakładu.

Zaraz po wyzwoleniu Piotrowski przystąpił do odbudowy fabryki. Został jej tymczasowym dyrektorem. Kierował akcją rewindykacyjną. Opracował plany rozwoju zakładu oraz całego przemysłu obrabiarkowego w Polsce. W maju 1945 r. zastał powołany na stanowisko dyrektora naczelnego Państwowego Zarządu Tymczasowego Wytwórni Obrabiarek i Narzędzi w Pruszkowie SMPzA. Funkcję tę pełnił do 1949 r. W latach 1949 – 1951 był dyrektorem naczelnym Zjednoczenia Przemysłu Urządzeń Mechanicznych

W roku 1951, mając 76 lat przystąpił do organizowania nowoczesnego biura konstrukcyjnego, które wieńczyło dzieło jego życia i należało do najważniejszych osiągnięć. Po reorganizacji 31 maja 1951 r. powstało Centralne Biuro Konstrukcyjne Obrabiarek (CBKO) z dyrektorem Janem Piotrowskim. Na stanowisku tym pozostał do 15 września 1957 r. Ze względu na podeszły wiek postanowiono odciążyć go od prac administracyjnych, został odwołany, ale jednocześnie powierzono mu funkcję Doradcy Dyrektora do Spraw Konstrukcji Obrabiarek CBKO w Pruszkowie, którą pełnił niemal do końca życia, na emeryturę przeszedł pierwszego września 1964 r.

Za wkład w rozwój polskiego przemysłu obrabiarkowego Jan Piotrowski został odznaczony:

- Krzyżem Oficerskim Polonia Restituta, 1928 r.
- Krzyżem Niepodległości, 1931 r.
- Złotym Krzyżem Zasługi, 1946 r.
- Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, 1957 r.

Otrzymał w 1950 r. nagrodę państwową II stopnia w dziedzinie nauk technicznych „za całość prac w dziedzinie konstrukcji obrabiarek oraz wybitne zasługi położone w zakresie organizacji i rozwoju przemysłu obrabiarkowego w Polsce”.

Do ostatnich dni życia pozostał aktywny. Pracował w domu nad historią przemysłu obrabiarkowego w Polsce. Porządkował

i uzupełniał wcześniej już zgromadzone na ten temat materiały. Pracę przerwała mu śmierć. Zmarł 4 grudnia 1964 r. Pochowany został na Powązkach.

Inżynier Jan Piotrowski może imponować nie tylko jako znakomity fachowiec, ale również jako człowiek niezwykle aktywny na różnych płaszczyznach życia społecznego, gorący patriota, przykładający pracę dla kraju nad własne życie osobiste.

Darzył ludzi dużym zaufaniem, wierzył w ich rzetelność, dlatego potrafił zaangażować ich do pracy. Jako dyrektor nie stosował autorytarnego stylu zarządzania, decyzje podejmował po szerokiej konsultacji z najbliższymi współpracownikami. Posiadał autorytet nie tylko wśród kadry inżynierskiej, ale także wśród robotników, z którymi potrafił znaleźć wspólny język, nawiązać bezpośrednie kontakty. W sytuacjach trudnych, podczas wielkiego kryzysu (1929-1933) pomagał wielu robotnikom dając pieniądze z własnej kieszeni. Świadczyło to o jego autentycznie demokratycznych poglądach, dużej tolerancji wobec poglądów innych ludzi. Był głęboko wierzącym katolikiem, zwolennikiem Józefa Piłsudskiego, nigdy nie starał się narzucać własnych sympatii innym.

Środowisko inżynierskie doceniło jego osiągnięcia w odbudowie i rozbudowie przemysłu obrabiarkowego nazywając go „ojcem polskiej obrabiarki”.

ŻBIKÓW 1914

Inscenizacje historyczne cieszą się w Polsce coraz większą popularnością. Choć powszechnie uważa się, że liczy się tylko przeszłość, społeczeństwo, a zwłaszcza młodzież odczuwa niedosyt pozytywnych wrażeń i deficyt wiedzy – głównie z dziedziny historii swoich przodków. Po wielu latach systemowego odmóżdżenia budzi się świadomość historyczna i narodowa. Tworzą się grupy odtwórcze, koła historyczne w szkołach działają coraz prężniej, a muzea przeżywają renesans.

Wydarzenie żbikowskie, ze względu na swą już stuletnią zasłone czasu, omawiane jest nader rzadko. W rocznicę wybuchu Wielkiej Wojny dokonano próby przywołania pamięci. Obóz wojskowy rozbity na łące za żbikowskim kościołem odwiedzano całymi rodzinami w ciągu dnia, a gdy zapadł zmrok na widowisko przybył tłum. Śmiało można napisać o dwóch tysiącach gości.

Widowisko, odwołujące się do pierwszowojennej historii kościoła w Żbikowie było też rekonstruktorską premierą na terenie miasta, nie licząc regularnych inscenizacji w pruszkowskich muzeach.

„Przegląd Pruszkowski” z radością odnotowuje ten fakt zamieszczając relację z rocznicowej rekonstrukcji autorstwa Piotra Dymeckiego, szefa GRH z Mszczonowa odtwarzającej wydarzenia żbikowskie wraz z kronikarskim opisem tamtych dni. Ten drugi wyszedł spod pióra Jerzego Ryxa i pochodzi z „Echa Pruszkowskiego”, dwutygodnika wychodzącego w Pruszkowie w latach dwudziestych ubiegłego wieku.



WIDOWISKO

Prezydent Miasta Pruszkowa Jan Starzyński wraz z księdzem prałatem Józefem Tchórzem proboszczem Parafii pw. Niepokalanego Poczęcia NMP w Pruszkowie – Żbikowie w niedzielę 26 października zaprosili mieszkańców na widowisko plenerowe poświęcone setnej rocznicy ostrzału żbikowskiego kościoła. Zniszczenia świątyni dokonała pruska artyleria, ostrzeliwująca pozycje carskiej armii w pierwszym roku Wielkiej Wojny (1914).

Widowisko odbyło się na parafialnych błoniach za żbikowskim kościołem, a sfinansowane zostało z dotacji samorządowej, udzielonej przez Prezydenta Pruszkowa. Prezydent objął też przedsięwzięcie honorowym patronatem. Scenarzystą i reżyserem widowiska był Dariusz Jańczy – mieszkaniec Pruszkowa, pasjonat lokalnej historii, a jednocześnie rekonstruktor – członek Grupy Rekonstrukcji Historycznej STRZELCY im. 31 pSK z Mszczonowa. To właśnie mszczonowska GRH wraz z Mszczonowskim Stowarzyszeniem Historycznym dostarczyły na żbikowskie błonia najwięcej zabytkowego i zrekonstruowanego wyposażenia, dzięki któremu odtworzone zostało carskie obozowisko. Współpracę z organizatorami widowiska podjęły też grupy rekonstrukcyjne z: Garbatki Letniska, Przasnysza, Bolimowa, Skierniewic, Warszawy oraz z samego Pruszkowa. O porządek na polu rekonstrukcyjnym zadbała Straż Miejska. Z funkcjonariuszami współdziałali młodzi członkowie pruszkowskiego Strzelca. Nie zawiedli też strażacy ochotnicy z Moszny. Przed wieczornym widowiskiem, w którym obok rekonstruktorów wystąpił wikariusz ze żbikowskiej parafii ks. Jarosław Borowiecki wraz z grupą parafian, mieszkańcy mogli zwiedzać carski obóz. Zaciekawienie wzbudził szpital polowy oraz zabytkowa kuchnia, w której uwarzona została grochówka i kawa zbożowa. Kuchmistrz

częstował smalcem, słoniną i innymi wojskowymi przysmakami. Kozacy z Garbatki przeprowadzali pokazy woltyżerki i zapewniali możliwość przejażdżek konnych dla dzieci. Członkowie Przasnyskiego Stowarzyszenia Historii Ożywionej wozili pruszkowian swoim zrekonstruowanym wozem pancernym Russo-Baltem, który co pewien czas ział ogniem swego pokładowego ckm-u. Do strzelania ze stanowiska ckm-u Maxim wz. 05 zapraszali uczestników historycznego pikniku rekonstruktorzy z Mszczonowa. Zabytkowa armata z epoki, broniąca podczas inscenizacji carskich pozycji, przyjechała aż z Muzeum w Lipcach Reymontowskich. Moździerz CK Armii dla strony nacierającej przybył ze Skierniewic. Narratorem widowiska słowno – muzycznego zatytułowanego: „Wielka Wojna w Pruszkowie – 1914 roku. Stulecie ostrzału żbikowskiego kościoła”, był Jerzy Fijałkowski. O efekty pirotechniczne zadbała firma AS (Artura Sobieraja) z Piotrkowa Trybunalskiego.

A BYŁO TAK...

Cichy był wieczór 16-go października 1914 roku. W dzień od samego rana ciągnęły drogami w stronę Warszawy całe tabory i oddziały wojska rosyjskiego, ustępujące pod naciskiem nacierających Niemców.

Wieczorem jednak około kościoła naszego zalegał spokój niemal zupełny. Tylko dwa telefony wojskowe, umieszczone w kancelarii plebanji żbikowskiej, pracowały bezustannie, a głośnie, niemal krzykliwe rozmowy telefoniczne komendy odcinka Pruszków-Ołtarzew, rozlegały się od czasu do czasu wśród ciszy.

Po domach już niewielu zostało mieszkańców. Większość, ratując skromne mienie, wyjechała do Warszawy lub za Wisłę, pozostali tylko starcy, którym obojętnym było, gdzie przyjdzie życie zakończyć, biedne wdowy z dziadkami, które nie miały ani dokąd ani czem wyjechać, wreszcie ten i ów z pośród dojrzałej ludności.

Pozostał i proboszcz żbikowski, ksiądz Makowski, który w ten oto wieczór październikowy wyszedł na wzgórek przed swoją ukochaną świątynię i szepcząc modlitwy za dusze w tej chwili tak licznie umierających rannych, spoglądał na okolicę, gdzie w stronie Piaseczna, Nadarzyna, Grodziska i Sochaczewa łuny pożarów znaczyły obecność Niemców.

Od czasu do czasu głuchy pomruk armat dawał się słyszeć, lecz powoli i te głosy cichły, a noc gwiazdzista i księżycowa, rozświetlana jeszcze łunami pożarów owijała wszystko, jeżeli nie do snu – to przynajmniej do chwili wytchnienia po całodziennych utrapieniach.

W tej chwili nadszedł od plebanji wierny towarzysz proboszcza wikary Poskrobko i odezwał się w te słowa: *Ojciec duchowny,*

czas odpocząć – herbata już podana, a i komendant wprosił się do kompanji.

Powrócił więc proboszcz do domu, gdzie zastał już w pokoju stołowym komendanta z adjutantem i lekarzem wojskowym. Gdy zasiedli wszyscy do stołu, odezwał się komendant:

– *Nu ś, gaspadin ksiądz. Jutro będzie tu ciepło. Mam wiadomość, że naprzeciwko mego odcinka ustawili Niemcy cztery baterie armat polowych. Wasz kościół jako najwyższy punkt w okolicy jest w niebezpieczeństwie, tym bardziej, że oni wiedzą o moich obserwatorach na wieży kościoła. Ja wam radzę z dobrego serca, wyjechać tej nocy do Warszawy. Właśnie tu obecny lekarz jedzie za pół godziny w sprawach sanitarnych, to was weźmie ze sobą na wózek.*

– *Wola Boża, komendancie – odpowiedział ksiądz Makowski – jesteście żołnierzem, więc mnie zrozumiecie gdy wam powiem, że tak jak wy nie cofniecie się ze stanowiska, chyba że władza wasza wam rozkaże, lub siła was przemoże, tak i ja, jako sługa i żołnierz Kościoła, mam rozkaz od mojej władzy wytrwania na miejscu, aż do chwili, gdy moje życie wyraźnie będzie zagrożone. Na razie nic mi nie grozi, więc pozostanę, a co dalej będzie, to w rękach Bożych.*

– *Ha jak chcecie – odparł komendant – ale pamiętajcie gaspadin ksiądz, że wam ostrzegam, bo jutro może być już za późno...*

Po tej rozmowie wszyscy udali się na spoczynek.

Nazajutrz, jeszcze szary świt nie rozpędził mroków nocy, gdy głośny huk armat niemieckich rozbudził księdza proboszcza. Szybko zmówiwszy ranną modlitwę, wybiegł przed dom. Tuż pod kościołem, od strony północno-wschodniej, stał komendant w grupie oficerów, z których jeden trzymał przy uchu słuchawkę telefonu i raz wraz raportował to co mówiono z wieży, gdzie za framugami okien stali rosyjscy wywiadowcy. Po chwili zgodnie z wskazówkami obserwatorów, zagrały także i baterie rosyjskie, ukryte poza ogrodem i budynkami, kierując ogień głównie na kościół w Rokicie. I tak rozpoczął się ten koncert stalowych potworów.

Pierwsze strzały niemieckie nie donosiły i bomby pękały w polu przed kościołem. Rosyjskie baterie, większego kalibru i dokładniej na odległość nastawione, skuteczniej ostrzeliwały nieprzyjaciela zamieniając w gruzy świątynię w Rokitnie. Wkrótce i niemiecki ogień stał się skuteczniejszy.

Po godzinie ostrzeliwania, pierwsza bomba trafiła w kościół żbikowski.

Rozległ się brzęk wylatujących przepięknych witraży, a potem i mur sypać się zaczął pod razami pocisków. Rozmowa telefoniczna ciągle trwała. Nagle straszny huk rozdarł powietrze.

To granat niemiecki dużego kalibru trafił w wieżę, robiąc w niej olbrzymi wyłom i zrzucając dzwony, z których jeden osiadł na krawędzi górnego okna.

Telefon przestał działać. Wnet pojawiła się grupa pokrwawionych i w podartych mundurach obserwatorów, niosących poległego na wierzy towarzysza. Zmarłego położono na trawie, a reszta na rozkaz komendanta wdrapała się na najwyższe drzewa parku żbikowskiego, zaprowadzając nową komunikację telefoniczną.

Ksiądz Makowski z wikarym, otoczony strwożoną gromadką mieszkańców Żbikowa, tych, którzy jeszcze do tej pory trwali w swych siedzibach wszedł do podziemi kościoła, gdzie zapalono świece przed krzyżem Zbawiciela, wiszącym na ścianie ponad małym, prowizorycznym ołtarzykiem i wkrótce pieśń pobożna, błagalna zaintonowana ze stopni ołtarza złączyła ze sobą te biedne strwożone istoty, chroniące się do podziemia kościelnego jak pierwsi chrześcijanie w katakumbach rzymskich – przed prześladowaniem pogan.

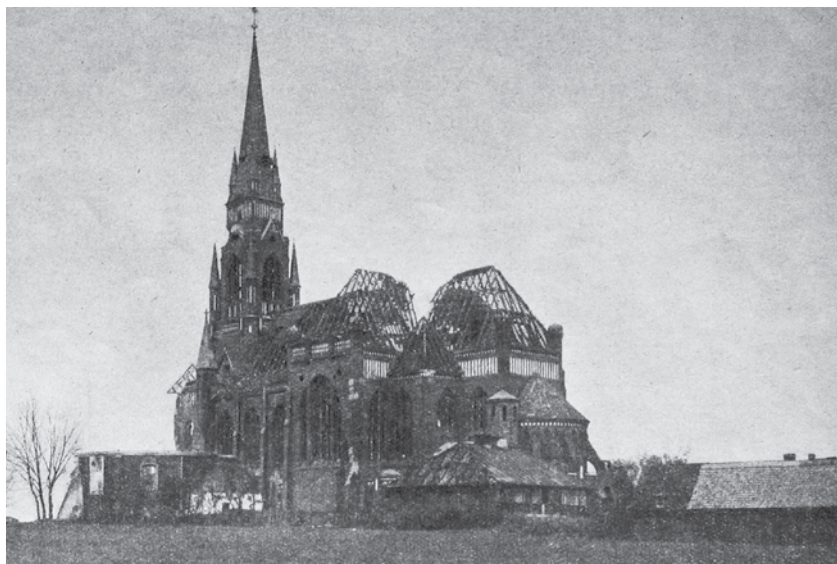
Ksiądz Makowski był spokojny. Powinność swoją wypełnił całkowicie – wszystkie cenniejsze naczynia i przedmioty kościelne a zwłaszcza takie jak: monstrancja, cenniejsze kielichy, ozdobna puszka do komunikantów i inne przedmioty srebrne lub pamiątkowe, były wywiezione. Na miejscu pozostał tylko najskromniejszy kielich mszalny i puszka z komunikantami pochodząca jeszcze ze starego kościoła, umieszczona w wielkim ołtarzu. Modlił się proboszcz żar-

liwie, aby Bóg raczył ocalić życie tej chociaż drobnej garstce ludzi, która się z bezwzględnyim zaufaniem powierzyła opiece Boskiej.

Komendant nie widząc obok siebie ani proboszcza, ani gromadki ludzi, był mocno przekonany, że wszyscy ratowali się ucieczką. Rad był z tego zresztą, bo sam będąc widocznie dobrym człowiekiem, polubił przez te kilka dni współżycia dobrego proboszcza, a i żał mu było tych biednych ludzi bezradnie stojących pod kościołem. Było to mu nawet na rękę, że już niczem nie krępowany będzie swobodnie mógł wydawać rozkazy, wszelkie zarządzenia wojskowe.

Wtem z podziemi kościoła słyszy śpiew zbiorowy. Udaje się tam, by sprawdzić rzecz osobiście, otwiera drzwi wejściowe i zastaje całą gromadkę otaczającą ołtarz oświetlony i proboszcza, zatopioną w modłach i śpiewach. Widok ten do głębi musiał go poruszyć, bo zdjawszy czapkę szedł na dół po schodach i przyklękawszy obok proboszcza cichym i spokojnym głosem powiadomił go, że wkrótce kościół może runąć i zawalić swym ciężarem całe podziemie i wszystkich, co tu się schronili, przeto należy co rychlej uchodzić w kierunku Warszawy:

– *Komendancie! A puszka z komunikantami w kościele?*



– Chto takoje? Acha, – panimaju nus tak wy, gaspadin ksiądz, jeżeli śmierci nie boicie idźcie do kościoła i bierzcie co wam trzeba, ale daję wam na to tylko dziesięć minut, a potem każę was mym żołdatom wziąć pod ręce i odprowadzić w pole na jedną wiorstę.

Ksiądz Makowski ani się zawahał, lecz szybkim krokiem wszedł przez zakrystię do prezbiterium.

W tej chwili bomba niemiecka czyni wyłom w sklepieniu kościoła i olbrzymie kawały gruzu z ogłuszającym hukiem walą się do nawy kościoła, zasypując cały kościół. Sekundę zawahał się proboszcz, ale po chwili, bez względu na padający deszcz szkła z okien kościelnych, wstrząsanych hukiem armat rosyjskich, bez względu na to, że może za chwilę sklepienie całe się zawali, bo już większa część dachu wraz z miedzianą sygnaturką zapadła się, biegnie do ołtarza, na sekundę przykłęka, szybko otwiera tabernakulum chwytając puszkę z komunikantami i przeżegnawszy się uchodzi do zakrystii. W tej chwili przez wyłom zrobiony w ścianie frontowej kościoła ponad chórem, wpada niemiecki granat i pęka na tysiące części przed wielkim ołtarzem. Jedna minuta wcześniej, a ksiądz Makowski byłby poległ jak bohater i męczennik za wiarę na stopniach ołtarza...

I szedł przez pola smutny pochód! Na czele kapłan z siwym włosem w starej zniszczonej sutannie, trzymając w obu rękach puszkę z Najświętszym Sakramentem, a za nim gromadka starców, kobiet, wyrostków i dzieci zbiedzonych, zgłodzonych, niemal w łachmanach utykając po bezdrożach, polach za oranych, przechodząc bosą nogą przez mokradła i rowy.

A jednak prawdziwa wiara ich nie zawiodła i Bóg dozwolił, że nikt z tych biednych uchodźców życia nie postradał, a świątynia nasza znów stoi odrodzona i świetna w swej dawnej krasie. Ci co Polskę rozdrapali – upadli, a Polska wolna i coraz bardziej siłą nabierająca, staje się jednym z najbardziej potężnych państw świata. Świątynia zaś żbikowska, staje się niejako symbolem tej epoki, której nawet siły piekielne nie zmożą.

Działalność Książnicy Pruszkowskiej

Książnica Pruszkowska od lat bierze czynny udział w organizowanych na terenie miasta kiermaszach, festynach oraz innych imprezach dla mieszkańców.

31 maja oraz 1 czerwca wzięliśmy udział w Dniach Pruszkowa. Personel biblioteki podzielił się na dwie grupy, z których jedna urządziła na tarasie Wypożyczalni Główniej przy ulicy Kraszewskiego kiermasz Taniej Książki, druga natomiast bawiła czytelników w Parku Sokoła, gdzie oprócz stoiska z książkami zorganizowała atrakcje dla najmłodszych.



Największym powodzeniem cieszył się, jak można było przewidzieć, kącik dla dzieci.

Wśród atrakcji znalazły się m. in. zajęcia plastyczne dla najmłodszych oraz konkursy z nagrodami.

Naszymi gośćmi były dzieci z Pruszkowa, a także z Grodziska Mazowieckiego, Żółwina, Nadarzyn ...

Dla dorosłych swoje książki podpisywał niezawodny Tadeusz Jakubowski. Na chwilę zajrzała też sąsiadka ze sceny – Ania Wyškoni.

6 czerwca w Sali Koncertowej Młodzieżowego Domu Kultury wspominaliśmy zespół The Beatles. Naszym gościem był Marek Szpejankowski – komorowianin – autor książki ***Beatlemania, opętanie czy obłąd?***

Szpejankowski jest pasjonatem, beatlomaniakiem – co znalazło wyraz w jego prezentacji książki.

Na spotkanie z nim przyszli wielbiciele zespołu, ale nie zabrakło również oponentów, nie do końca przekonanych o wielkości chłopców z Liverpoolu... A część sali zachowała trzeźwą rezerwę.

Autor wszystkim musiał stawić czoło, by obronić swoje stanowisko: *The Beatles byli Geniuszami*. O czym jest tak głęboko przekonany, że z politowaniem traktuje wszelkie próby obalenia legendy.

Wieczór oprócz wymiany poglądów na muzykę pop, stworzył okazję dla wielu czytelników do spotkań po latach, a także poznania nowych, interesujących ludzi.

25 września Roman Czejarek przywiozł do Pruszkowa lato – Lato z Radiem.

W sali Koncertowej Młodzieżowego Domu Kultury spotkali się fani kultowej audycji oraz fanki Romana Czejarka.



Przez blisko dwie godziny jeden z najpopularniejszych prezen-
terów 1 programu Polskiego Radia opowiadał o swojej wieloletniej
przygodzie z kultową dla milionów słuchaczy letnią audycją. Sypał
anegdotami, zdradził nieco tajemnic radiowej kuchni, odpowiadał
na pytania. Na koniec zorganizował dla naszych czytelników błę-
skawiczny quiz z nagrodami. Nieliczni szczęśliwcy mogli stać się
posiadaczami gadżetów Lata z Radiem.

To kolejna impreza Książnicy Pruszkowskiej, która wymknęła
się z ram scenariusza. Z korzyścią dla imprezy.

24 października, wspólnie z Młodzieżowym Domem kultury gościliśmy Krzysztofa Kamińskiego. Z autorem z okazji promocji Jego najnowszej książki *Nici przeznaczenia*, w której Krzysztof Kamiński kontynuuje swoje własne rozrachunki z epoką słusznie minioną – zapoczątkowane w poprzednie satyryczno-groteskowej powieści *Pleśniak*. W *Niciach przeznaczenia* autor rezygnuje z fantastycznej konwencji na rzecz realizmu, co z pewnością dobrze zrobiło powieści.

Krzysztof Kamiński, jako rdzenny pruszkowianin, dobrze się czuje w naszym Mieście i równie dobrze jest przyjmowany. Ponieważ jednak Czytelnicy nie mieli dotychczas okazji zapoznać się z Jego książką (poza nielicznymi wyjątkami), spotkanie bardziej przypominało luźną rozmowę nostalgiczno-wspomnieniową, niż dyskusję o książce.

KRZYSZTOF KAMIŃSKI – urodzony w Pruszkowie, z zawodu inż. poligraf Politechniki Warszawskiej, jest poetą i prozaikiem. Pracował w warszawskich drukarniach i wydawnictwach. Niezależnie od pracy zawodowej pisywał szkice poetyckie, wiersze, artykuły i opowiadania. W 2007 roku wycofał się z pracy zawodowej, oddając się całkowicie pisaniu. W 2009 roku wydawnictwo MyBook wydaje zbiór opowiadań „Paradoksy życia”. W 2010 roku ukazał się pierwszy tomik poetycki „Wiersze”, w 2011 tomik poetycki „Mały złoty pegaz”. W 2012 roku wydał nakładem Książnicy Pruszkowskiej książkę – „Stefan Szepe – życie i działalność”. W tym samym roku ukazała się na rynku wydawniczym powieść satyryczna „Pleśniak” wydana nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej. W 2013 roku wydawnictwo Goneta wydało dwie miniatury literackie, „Broda” i „Dobre słowa” w formie elektronicznej. W 2014 roku napisał kolejną powieść – „Nici przeznaczenia” – opisującą realia życia w Polsce Ludowej.

W czwartek, 13 listopada, gościliśmy Wojciecha Kassa – poetę znanego już pruszkowskim czytelnikom z okazji poprzednich jego wizyt w naszym mieście.



Pretekstem do kolejnego spotkania był najnowszy tom poetycki Kassa zatytułowany *Ba!*, który wciąż otrzymuje entuzjastyczne recenzje i spotyka się z bardzo dobrym przyjęciem zarówno ze strony krytyków literackich, jak i czytelników.

7 listopada Prezydent Pruszkowa, Jan Starzyński wyróżnił Książnicę Pruszkowską Statuetką *Urbs Nova* w kategorii kultura. Nagroda ta jest uhonorowaniem osób i przedsiębiorstw, które w naszym mieście prowadzą swoją działalność przyczyniając się do rozwoju Pruszkowa i upowszechniają jego dobre imię w kraju i za jego granicami.



Nagroda została przyznana „ZAPROMOWANIE PRUSZKOWA W KRAJU I ZA GRANICĄ, OGÓLNOPOLSKIE KONKURSY LITERACKIE IM. NORWIDA I GAŁCZYŃSKIEGO, A TAKŻE ZA DOROBEK WYDAWNICZY”.

Statuetka Urbs Nova w tym roku została przyznana w kategoriach:

1. – w kategorii rozwój gospodarczy Pracownia Cukiernicza Jan Jeżak za kultywowanie tradycji rzemieślniczych Pruszkowa, działalność filantropijną i „osładzanie życia mieszkańcom”,
2. – w kategorii rozwój gospodarczy firma Insbud – Stanisław Bystrzycki za wieloletni udział w cywilizacyjnym rozwoju Pruszkowa i tworzeniu podziemnej infrastruktury technicznej,
3. – w kategorii rozwój gospodarczy Elektrociepłownia Pruszków za sto lat światła i ciepła w domach i sercach mieszkańców Pruszkowa,
4. – w kategorii sport Grzegorz Napiórkowski za rozbudzanie pasji sportowych u młodzieży, a przez to wybitne osiągnięcia trenerskie i wychowawcze,
5. – w kategorii działalność społeczna Zdzisław Zaborski za osobiste świadectwo i pielęgnowanie pamięci historycznej Pruszkowa, bogaty dorobek pisarski i działalność społeczną,

6. – w kategorii kultura Galeria Sztuki Tess za ćwierć wieku malarstwa, rysunku, grafiki i rzeźby w Pruszkowie,

7. – w kategorii kultura Książnica Pruszkowska za rozwój czytelnictwa i promowanie Pruszkowa w kraju i za granicą, ogólnopolskie konkursy literackie im. Norwida i Gałczyńskiego, a także dorobek wydawniczy.

Paulina Kaleta

Spółecznik zakochany w swym Mieście, długoletni działacz PTK-N



Jerzy Kaleta urodził się w Pruszkowie 28 stycznia 1929 roku. Pochodził z rodziny robotniczej. Od dziecka pragnął zdobyć jak największą wiedzę, by wykorzystać ją dla dobra innych. W 1946 roku ukończył trzyletnie Gimnazjum Przemysłowe przy Fabryce Stowarzyszenia Mechaników Polskich z Ameryki w Pruszkowie. Przez rok uczęszczał do Technikum Mechanicznego Towarzystwa Kursów Technicznych przy Szkole Technicznej im. H. Wawelberga i S. Rotwanda w Warszawie. Od roku 1948 musiał podjąć pracę zawodową ze względu na trudne warunki materialne. Na początku pracował w Elektrowni Pruszkowskiej, a następnie w Zjednoczeniu Budownictwa Miejskiego 5 KAM (Konserwacja Architektury Monumentalnej) w Warszawie na Starym Mieście. Po pewnym czasie zaczął pracować w Zjednoczeniu Budownictwa Miejskiego, ale 6 MDM, gdzie uczestniczył w budowie Placu Konstytucji.

W latach 1952-54 odbywał zasadniczą służbę wojskową w jednostce w Zabrze, z której wiosną 1954 roku powrócił jako inwalida wojenny. Nie brał udziału w żadnych działaniach wojennych, ale w wojsku uległ zakażeniu zgorzelą gazową – w 1953 roku amputowano mu lewą nogę w połowie uda. Jego przypadek był medycznym

ewenementem badanym przez wielu specjalistów – był po prostu cudem, gdyż po operacji dawano mu 1% szans na przeżycie.

Po powrocie do domu podjął pracę w Pruszkowskich Zakładach Przemysłu Terenowego. Od jesieni 1955 zatrudniony był w Fabryce Fajansu „Pruszków”, przekształconej w Zakłady Porcelitu Stołowego „Pruszków” gdzie pracował do przejścia na emeryturę w 1984 roku. Pracując w ZPS ukończył z bardzo dobrym wynikiem zaoczne 5-letnie Technikum Ceramiczne w Krotoszynie.

Jako mieszkaniec Pruszkowa aktywnie uczestniczył w życiu kulturalnym i naukowym miasta. Często można go było spotkać wraz z małżonką na koncertach i wykładach. Był aktywnym członkiem Pruszkowskiego Towarzystwa Kulturalno – Naukowego i Pruszkowskiego Towarzystwa Muzycznego. Był również członkiem Stowarzyszenia Szarych Szeregów Krąg im. Aleksandra Kamińskiego. Miał ładny głos – przez 48 lat śpiewał w Chórze Parafialnym przy Kościele Świętego Kazimierza w Pruszkowie. Tu poznał przyszłą żonę Krystynę – ślub wzięli w 1957 roku, wychowali dwóch synów, jeden z nich, Wojciech, odziedziczył po rodzicach zdolności muzyczne. Dziadek jako chórzysta i parafianin przyczynił się do powstania kroniki Kościoła Św. Kazimierza.

W młodości interesował się sportem i wiązał z nim swoją przyszłość. Niestety, stan zdrowia nie pozwolił mu na realizację marzeń. Mimo kalectwa był wysportowany i prowadził długo bardzo aktywny tryb życia.

Nigdy nie zdradził swego „ukochanego” sportu – interesował się wydarzeniami sportowymi i osiągnięciami sportowców różnych dziedzin.

W późniejszych latach jego hobby stało się pisanie. Pisał dużo, na różne tematy, głównie historyczne oraz związane z jego rodzinnym miastem Pruszkowem. Jego artykuły ukazywały się między innymi w „Głosie Pruszkowa”, „Podwarszawskim Życiu Pruszkowa” (do niego układał krzyżówki), w „Przeglądzie Pruszkowskim” oraz w „Wojskowym Przeglądzie Historycznym”. Największym jego dziełem jest książka „Pruszków Przemysłowy”, wydana dwu-

krotnie w 2004 i 2010 roku. Oprócz opublikowanych prac zgromadził materiały i ciekawostki na różne tematy. Zajmował się też notowaniem ważnych i mniej ważnych zdarzeń oraz prowadzeniem tzw. „pogodynki”. Napisał kilka powieści, o czym wiedzą tylko najbliżsi – nigdy nie chciał ich wydać.

Poza pisaniem aktywnie uczestniczył w życiu POD Komorów (obecnie ROD) – tam dziadkowie mieli działkę.

Całe życie był otwarty i chętny do działania. Dla nas, wnucząt, był Dziadkiem, do którego mogliśmy zawsze przyjść, wyżalić się, zawsze znalazł słowa pocieszenia, zawsze starał się nam pomóc czy udzielić dobrej rady.

Z chwilą jego śmierci 27 czerwca 2014 roku straciliśmy kochanego Dziadka, naszego Przyjaciela.

Jacek Przygodzki

Profesor Politechniki Warszawskiej

Profesor Anna Pawelczyńska

Niedawno pożegnaliśmy panią profesor Annę Pawelczyńską; urodziła się w Pruszkowie 22 stycznia 1922 roku. Żołnierz Armii Krajowej, więźniarka Pawiaka i Oświęcimia. Całe swoje zawodowe życie poświęciła nauce – była profesorem socjologii i autorką wielu naukowych książek.

Była człowiekiem wielkich wartości moralnych i intelektualnych. Całym życiem służyła Polsce. Zmarła 21 czerwca 2014 roku. Została pochowana w rodzinnym grobie w Pruszkowie.

W następnym numerze napiszemy więcej o jej życiu, pracy i osiągnięciach naukowych.

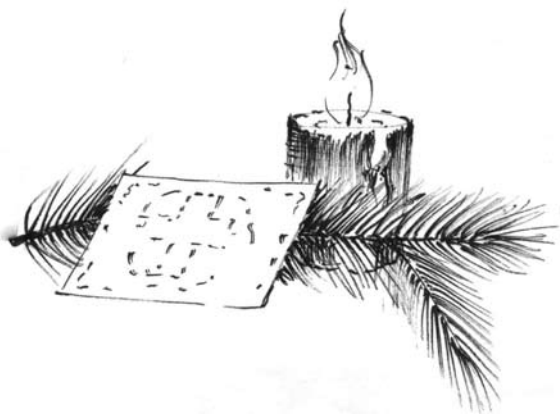
Stanisława Ossowska

Boże Narodzenie

Ponad dwa tysiące lat temu
zdarzył się cud narodzin tego,
który łączy nas z niebem.

Uzmysławia przelotność życia,
które jest chwilą na ziemi.
Zapowiada nową formę istnienia.

Tajemnicą osłoniętych jest wiele prawd,
których chcemy dociekać,
które pragnęlibyśmy poznać.



Cud narodzin

Przyszedeł cichutko
Niepostrzeżenie dla ludzi
bez zgiełku i hałasów
typowych dla wielkich
Skromnie

Gdyby nie gwiazdy
i prorocy
byłby niezauważony

Wolą Ojca
świat Go postrzegł

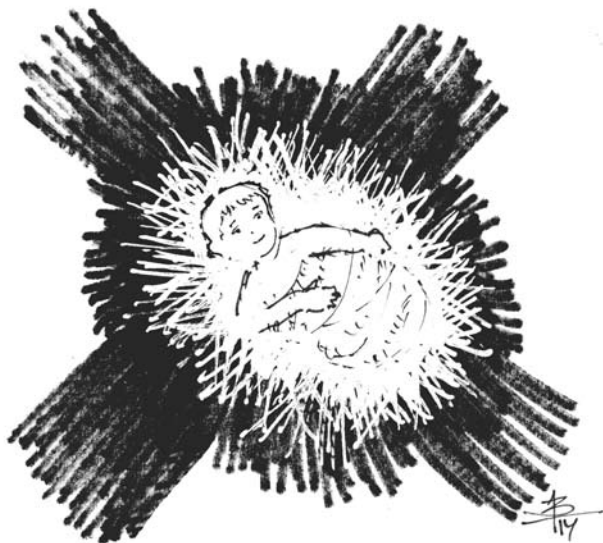
Jest posłańcem
jednoczącym ziemski świat z niebem
w stronę którego zadzieramy głowy
nabite troskami
i trudnymi pytaniami

Gdy brakuje sił
i gdy radość rozsadza piersi
wzdychamy do Niego

Mamy kogo prosić
i komu dziękować
Nie jesteśmy sami
zdani tylko na siebie

Refleksje na Boże Narodzenie

Maluśki ale Wielki
Cichutki ale głośno o Nim
Pokorny ale jakże charyzmatyczny
Upokarzany ale spokojny
Śmiertelny ale żyjący wiecznie
Zakorzeniony w Wielkim Ojcu
Żył dawno ale żyje i dziś
Przyszedł z miłością
by oświecać nam drogę



Świąteczne marzenia

Boże Narodzenie
 Święta – jak co roku...
Lecz przecież czujemy,
że świat się wypełnia radością i światłem...

Chyba znów wierzymy,
że nie tylko ludzie, ale i zwierzęta
zaczną żyć miłością,
ludzkim głosem mówić
i pokój wprowadzać...

że rozkwitnie uśmiech
 i prawdziwe dobro...
zwykłe ludzkie szczęście pośród nas zagości...

Oby to nie było przelotne marzenie,
ale rzeczywistość
 piękna a prawdziwa
wszędzie gdzie jesteśmy...
– z opłatkiem życzymy.

Adam Mickiewicz

Nowy Rok

Skonał rok stary, z jego popiołów wykwita
Fenix nowy już błyszczy w złotej wchodu bramie
Świat go cały z nadzieją i życzeniem wita
Czegoż w tym nowym roku żądać masz Adamie?

Może chwilek wesołych? – znam te błyskawice;
Kiedy niebo otworzą i ziemię ozłocą,
Czekamy wniebowzięcia, aż nasze źrenice
Grubszą niżeli przedtem zasępią się nocą

